AS



Nr. 38
18 WRZEŚNIA 1938 R.
CENA 40 GROSZY

TANCERKA HISZPAŃSKA

(La Granero) — Fot. d'Ora, Paryż

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych nagród!







Na lewo od góry: „W obozie harcerek" (Ranna toaleta — Przechadzka torem kolejowym) — fot. Marja Szalatówna. Poznań.

Na prawo od góry: „Camping" (Nowoczesny tarzan — Po 100 kilometrach) — fot. Mieczysław Cuper. Czarniecka Góra, Końskie.

Poniżej: „Na ukwieconej łące" — Ewunia Kotowiczówna. Kraków (fot. J. Malanda).





Ogłoszenia naszych Czytelników na „Konkurs wakacyjny" stają się coraz liczniejsze. Nie wszyscy jednak pamiętają o tem, że pierwszym warunkiem uczestniczenia w Konkursie jest wykazanie się przynajmniej kwartalną prenumeratą Magazynu „As", zapoczątkowaną nie wcześniej jak w dniu 25 czerwca br. **Zamieszczenie zdjęcia w rubryce konkursowej nie oznacza jeszcze nabycia prawa uczestniczenia w rozdziale nagród, bo to może uzyskać dopiero ten, kto nadeśle do dnia 15 października br. poświadczenie prenumeraty „Asa" w wyżej wymienionym czasokresie.** Przypominamy również, że każdy uczestnik Konkursu ma prawo do zamieszczenia najwyżej dwóch zdjęć. O ich wyborze decyduje Redakcja „Asa". Ważnem jest przestrzeganie odpowiedniego tematu w nadsyłanych zdjęciach. Jak wynika z nazwy Konkursu, mają to być fotografje, zobrazowujące fragmenty życia naszych Czytelników podczas wakacyj. Tymczasem niejednokrotnie zdarza się, że Redakcja „Asa" otrzymuje zdjęcia, które wprawdzie są pięknemi obrazkami, jednak, przedstawiając martwą naturę, nie mają nic wspólnego z reprodukcją życia wakacyjnego ich autorów. Na fotografji, która ma się pojawić w rubryce konkursowej, musi się coś dziać, co łączy się z osobą zgłaszającego się na Konkurs lub z jego najbliższymi. Wówczas dopiero będzie to właściwe zdjęcie na właściwem miejscu. **Przypominamy, że nadsyłanie zdjęć na Konkurs wakacyjny „Asa" kończy się nieodwołalnie w dniu 15 października b. r.**

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 38 — **Niedziela, 18 września 1938** — **Rok IV**

ASY NUMERU 38-GO:



Fot. H. von Perckhammer.

Z ostatniemi promieniami sierpniowego słońca minęły dla wielu wakacje. Powrotowi do pracy w szarych, dusznych murach miast towarzyszą wspomnienia jakże miłych chwil, spędzonych beztrosko na wycieczkach i podróżach, których dalekie nieraz drogi wiodły przez kraje, bogate w piękno przyrody i architektury. Na zdjęciu: Epizod z wycieczki samochodowej po Tyrolu.

MALOWANE BAŚNIE WSCHODU





„Gazele" — minjatura z XVII w. Indje.

Na lewo: „Piejący kogut" — minjatura z początku XVIII w. Indje.

Poniżej na lewo: „General Shaisteh Khan" — minjatura z połowy XVIII w. — Indje. Minjatury z Państwowego Muzeum w Berlinie.



Niesłusznie rozszerza się mniemanie, iż sztuka islamska nie mogła rozwinąć się wskutek zakazu Koranu, zabraniającego przedstawiania bóstw i religijnych tematów w artystycznej twórczości.

Dotyczący ustęp brzmi w księdze „Hadith" w zbiorze myśli Proroka następująco: „Strzeżcie się przedstawiać Boga albo człowieka a malujcie tylko drzewa, kwiaty i bezduszne przedmioty". W innem miejscu grozi Mahomet, iż w dniu sądu ostatecznego wszyscy malarze, którzy ośmielili się przedstawiać ludzkie postacie, będą wezwani przez Boga, aby tchnęli w nie duszę. Skoro tego nie uczynią — spłoną wiecznym ogniem.

Surowe nakazania proroka przestrzegała tylko jedna kasta ortodoksyjna „Sunna", natomiast wyznawcy rozpowszechnionego Szytyjskiego obrządku, do których należą przedewszystkiem Persowie i członkowie dynastji krajów arabskich zatrudniali u siebie wielu malarzy. Sztukę pielęgnowała stara dynastja kalifów Omajadów i Abbassydów. Niewątpliwie, iż w ozdobie świątyń przestrzegano ściśle przepisów proroka, natomiast w sztuce świeckiej zapominano o tych zakazach.

Pierwsi przepisywacze tekstów Koranu przestrzegali woli proroka, a sztukę swoją wypowiadali w wyszukanej kaligrafji i ornamentach marginesowych, komponowanych na motywach roślinnych i geometrycznych. Przepisywacze sporządzali również kopje dzieł astronomicznych i technicznych i musieli ilustrować je różnorodnemi przykładami z przyrody. Istnieje rodzaj perskiej encyklopedji z XIV wieku, w której przedstawiono nietylko życie zwierząt i roślin, ale również świat baśni i legend, rojący się od aniołów i demonów.

Duch Wschodu nie mógł wyrzec się przekazywania potomnym swego przepięknego świata baśni. Najbardziej popularną była „Maqamen", ilustrowana przez Abu Mohammed el-Hariri (zmarłego w 1122), jednego z najzdolniejszych arabskich iluminatorów. Najpopularniejszym rękopisem było dzieło poety Firdusi'ego „Schahnameh", ukończone w 1011, wieku krążące w tysiącach egzemplarzy po Persji, odpisywane przez 700 lat, stało się zalążkiem rozwoju minjatury perskiej. Do sensacyjnej literatury tej epoki należał „Skarb tajemnic", legendarna historja miłosna króla Khosrau do pięknej Schirin, którą nazwać można Wenerą Wschodu.

Również „Ogród Rozkoszy" („Bustan") i „Różany gaj" (Gulistan), napisane przez Scheikh Saadiego, zmarłego w 1291 roku, ilustrowane były przez tysiące malarzy perskiego Parnasu. Do najbardziej porywających tekstów poetycznych średniowiecza należała książka o „Miłości i Płaczu" (Diwan), dzieło lirycznego poety Hafiza, zmarłego w r. 1391.

Fantastyczną treść arabskich, hinduskich, perskich a wreszcie tureckich baśni ilustrowali przedewszystkiem dworscy malarze. Koszty wykonania rękopisów były bardzo duże. Zamówień dokonywali jedynie sułtanowie i magnaci, których osobista wola decydowała nie tylko o wyborze treści, lecz również o formie malarskiej. Ważnym problemem był dobór i dostarczenie kosztownego papieru, który często sprowadzano wojennemi ekspedycjami z dalekich Chin. W każdem zamówieniu wyliczoną była szczegółowo ilość tytułów i pełnostronicowych malarskich kompozycyj. Malarze i kaligrafowie pracowali miesiącami i latami, według swej specjalności. Po wykonaniu roboty kaligrafa i malarza szedł rękopis do złotnika, wyzłacającego stronnice tytułowe, napisy i ornamenty licznemi

arabeskami. Z powodu nieużywania dużych liter nieznaną była przepiękna na Zachodzie a tak rozwinięta sztuka komponowania inicjałów w rękopisach chrześcijańskich. Technika malarska polegała na przenoszeniu rysunków mokrym pendzlem, zanurzonym w wodzie, na specjalnie wygładzony papier. Najpierw obrysowano tuszem lub czerwoną farbą kontury, wypełniane później farbą pokrywającą. Jako środka łączącego używano nader często gumy, dającej tonację dzisiejszej gwaszy. Wśród minjaturzystów istnieli specjaliści z nieprawdopodobną pewnością i dokładnością posługujący się często jednym włosem wiewiórczym, dokonując nim najlżejszych dotknięć. Prócz złota, w późniejszej epoce używano i srebra oksydującego czarno, używanego gdy malarzowi chodziło o przedstawienie strumyków, źródeł czy stawów. Kaligraf kończył minjaturę umieszczając teksty w miejscu wybranem przez malarza.

Orjentalni władcy wynagradzali za piękne wykonanie rękopisów malarzy i pisarzy w sposób wschodni, tj. obsypywali dłonie artystów tylu dinarami, ile mogły pomieścić. Panował wówczas również podobny zwyczaj opłacania poetów, którym za wygłoszone utwory władca wypełniał usta monetami złotemi, ile się w nich zmieściło.

Rękopisy oprawiano kosztownie w okładki lakowe lub pergamin z tłoczonym złotym drukiem.

Już w najwcześniejszych kompozycjach islamskich spotykamy aureolę zdobiącą głowy monarchów i wodzów. Aureola odznaczała dostojność osoby i była malarskim akcentowaniem postaci na wyzłoconem tle.

Przeglądając minjatury perskie oraz induskie, zebrane w muzeum państwowem w Berlinie studjować możemy na nich historję obyczajów i zwyczajów ludów Wschodu. Historja kultury świadczy o wielkim konserwatyźmie Arabów i Persów. Wiele scen z życia przedstawionych w minjaturach XI wieku, oglądać możemy jeszcze dziś w życiu współczesnem. Na minjaturach bagdadzkich, pochodzących z epoki Abbassydów dostrzegamy np. sztandary wojskowe i proporce, jak również umundurowaną kapelę wojskową, używającą kotłów i fanfar. Na minjaturze perskiej Abdallaha z XVI wieku oglądamy polowanie z sokołami, jak również chwytanie koni na lasso. Na minjaturze hinduskiej, pochodzącej z XVIII wieku, podziwiamy grę w polo, uprawianą według współczesnych sportowych reguł na dworze Mogoła. Pięknościom Wschodu nie były obce najbardziej rafinowane współczesne zabiegi kosmetyczne. Piękna Schirin, przedstawiona na minjaturze perskiej z XVI wieku, ma nietylko brwi podgolone, lecz również lakierowane paznokcie u nóg i rąk. Nic dziwnego, iż na jej widok amant w koronie Khosrau włożył paluszek do swej buzi, co jest na Wschodzie oznaką najwyższego zachwytu. Zwyczaj ten, jak wiadomo, utrzymał się u nas dotąd jedynie wśród dzieci.

Do arcydzieł minjatury perskiej należy wniebowzięcie Mahometa, pendzla perskiego mistrza Agi Mirek. Kompozycja ta przedstawia Mahometa, wznoszącego się wśród chmur na rumaku o głowie kobiety, ozdobionej koroną. Mahometa otacza orszak uskrzydlonych aniołów, jakby z obrazów Fra Angelika.

Perska Wenera Schirin, opiewana przez Mongołów i Persów, a zwłaszcza szkołę malarską w Delhi, miała swoją rywalkę w hinduskiej piękności Radha, opiewanej w licznych aktach hinduskich malarzy z XVIII wieku, którzy przedstawiali ją z rozwianym kruczym włosem, z bransoletkami u nóg i na rękach. Profil twarzy zbliżony do greckiego, duże oczy z podkreślonemi linjami brwi i rzęs.

Wśród perskich i hinduskich minjatur obok kobiecych kokietek spotykamy również wielu adonisów męskich.

Minjatura perska stała się dziś niestety przedmiotem handlowym i wskutek tego zniekształciło ją wielu naśladowców i falszerzy, którzy nie wahali się uciec nawet do pornografji, aby tym dziełom sztuki nadać pewien niezdrowy posmak. Te falszerstwa nie mają nic wspólnego z naiwnością i wdziękiem kompozycyjnym i kolorystycznym wielkiej sztuki Wschodu.

Minjatury islamskich artystów wzbudzają podziw szlachetnością malarskiego ujęcia poetycznych tematów. Baśń Wschodu wykwita w nich jak cudowny kwiat.

Mgr. Dienstl-Kaczyńska.



„Drzewo Waq Waq" — minjatura z połowy XVII w. Indje.



Na lewo: „Książę Mahmud B „Ba — zakolorowany rysunek pendzlem z początku XVII w. Persja.



Obok: „Ryś i owce" — minjatura z końca XVIII w. Indje.

BROŃ SKRZYDLATA



Samolot R. W. D. w locie.

Jesteśmy narodem skrzydlatym. Temperament, odwaga, fantazja i to pewne junactwo, bez którego trudno pomyśleć o jakimkolwiek wyczynie lotniczym, leżą nam we krwi. Mimo, że lotnictwo nasze należy do najmłodszych w Europie — lista naszych orłów jest długa. Mamy za sobą świetne zwycięstwa i doskonałe wyniki we wszystkich konkurencjach królewskiego sportu lotniczego.

Niedawno doniosła prasa o młodym mechaniku, który prymitywnemi środkami zbudował sobie samolot, na którym w swej rodzinnej wiosce w Poznańskiem dokonał serji udałych przelotów. Rwiemy się do skrzydeł! Lotnictwo jest jakby dla nas stworzone! Jeżeli sportowe lotnictwo nie jest jeszcze w Polsce tak rozpowszechnione jakby być mogło, to tylko dlatego, że nie wszyscy, którzyby latać pragnęli mają po temu warunki. Zapału jest dość — pieniędzy wciąż jeszcze mało, aby zrealizować lotnicze tęsknoty wszystkich młodych.



Prezes LOPP, gen. dyw. inż. L. Berbecki.

Instytucją, która od lat 15-tu pracuje na tem polu jest LOPP. Skrót znany każdemu dziecku w całej Polsce. Dążenia i prace tej instytucji, która skupiła w swych szeregach tych wszystkich, którzy rozumieją kluczową rolę lotnictwa — nie wyczerpuje się w organizowaniu defensywy. Ciągle zamało w Polsce podkreśla się, że LOPP nietylko kształci oddziały obrony przeciwgazowej i przeciwlotniczej — nietylko przeprowadza kursy, zaznajamiając całe społeczeństwo w miastach i wsiach jak bronić się w razie ewentualnego nalotu i ataku bombowego, nietylko buduje schrony przeciwgazowe — lecz również kształci lotników i ze swych środków kupuje samoloty zarówno dla armji jak i cywilne dla klubów lotniczych. LOPP przygotowuje nietylko defensywę, ale i ofensywę. Nie znaczy to, abyśmy przygotowywali się do jakiejś zaczepnej agresji. — Miłujemy pokój i po cudze nigdy nie wyciągaliśmy ręki. Wierzymy jednak, że najlepszą defensywą bywa właśnie ofensywa, zwłaszcza w wojnie lotniczej. Przed atakiem z powietrza nie obronią nas same schrony, ani drużyny ratownicze. Prawdziwą obronę stanowić mogą w razie ataku wroga jedynie samoloty! Budowa nowych jednostek naszej floty lotniczej, kształcenie nowych kadr pilotów, zakładanie lotnisk, budzenie zrozumienia dla zagadnień lotnictwa wśród najszerszych sfer społeczeństwa, oto gorąco a zarazem rozumnie pojęta misja, jaką od lat 15-stu pełni dla dobra Polski LOPP.

Trzeba móc odczuć romantyzm zaklęty w stalowym ptaku-samolocie, aby być dobrym pilotem. Aby być Żwirką czy Bajanem nie wystarczy „wyuczyć się" pilotażu w szkole. Trzeba się takim orłem urodzić. Dziś mamy już prawo twierdzić, że może więcej niż inne narody kochamy lotnictwo — dobrze czujemy się ze skrzydłami u ramion. W naszych szkołach lotniczych nie brak jest kandydatów — jeżeli czego brak to środków, aby móc rozwinąć nasze lotnictwo w skali proporcjonalnej do zamiłowań lotniczych młodego pokolenia.

Dziś w XX wieku, który przyniósł nam zautomatyzowanie tylu dziedzin życia, lotnictwo stanowi oazę dla snów młodości. Do tej współczesnej husarji garnie się wielu, którzy niejednokrotnie przez brak środków czy miejsca marnieją ze szkodą dla siebie i dla państwa.

Sprawa jest całkiem prosta. Współczesne państwo może być albo mocarstwem lotniczem, albo tylko państwem drugoplanowem. Bez potęgi lotniczej niema mocarstwowości — niema prestiżu — niema stuprocentowego bezpieczeństwa i pokoju. Śmiało można zaryzykować twierdzenie, że w epoce, którą przeżywamy, lotnictwo jest czynnikiem decydującym tak w czasie wojny jak i w czasie pokoju.

Mamy świetny materjał ludzki. Piloci rodzą się u nas na kamieniu. Potrzebujemy tylko pieniędzy, aby rozbudować nasze lotnictwo w skali, odpowiadającej z jednej strony naszej randze mocarstwowej, z drugiej zaś w stopniu, odpowiadającym naszym umiłowaniom lotniczym. Co trzeba więc uczynić? Wystarczy, aby każdy Polak był członkiem LOPP. — Niech więc każdy co miesiąc choćby groszową wpłatą na LOPP przyczyni się do uskrzydlenia Polski!

Jul. Mier.

Poniżej: Drużyna, odkażająca miejsca, na które zrzucono bomby iperytowe.





Na prawo: Żołnierze z piechoty lotniczej opuszczają się na ziemię z pomocą spadochronów.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Zmiany regularnych seryj należą obecnie do rzadkości i tylko w Stanach Zjednoczonych ukazuje się teraz stopniowo cała nowa galerja prezydentów na znaczkach. Zupełnie słusznie zastosowano tu system chronologiczny, ale przyznać należy, że dawna serja z r. 1922 była oryginalniejsza, dzięki kilku znaczkom krajobrazowym. Obecnie tylko egzemplarz za 4,5 centa, w szarym kolorze, jest wyjątkiem i przedstawia słynny „Biały Dom". Dla amatorów czystych egzemplarzy nabywanie dalszych wartości aż do 5 dolarów, będzie zapewne dość ciężkim problemem finansowym.

Kongo Belgijskie wydało ostatnio serję, przedstawiającą parki narodowe, heljograwurą w żywych kolorach.

Jubileusz 40-lecia panowania królowej Wilhelminy holenderskiej został upamiętniony daleko mniejszą serją, aniżeli 25-lecie. Tym razem wydano tylko 3 znaczki za 1.5, 5 i 12.5 centa (czarny, pomarańczowy i niebieski) w formacie 29×32 mm.

Francja emitowała nowy znaczek „dobroczynny", ale nawet przy nakładzie 1 miljona (!), nie przypadnie uchodźcom z Hiszpanji więcej, aniżeli 100.000 zł. o ile poczta rozsprzeda wszystkie egzemplarze.

W. H.







Ra



Wybór nowości filatelistycznych: u góry na lewo i na prawo znaczki amerykańskie z regularnej serji; w środku trzy piękne znaczki Konga belgijskiego. W dolnym rzędzie na lewo i na prawo po dwa znaczki tureckie (międzynarodowe targi 1938); trzeci od lewej francuski znaczek, wydany na cele dobroczynne, obok znaczek holenderski z serji jubileuszowej.

UŁANI!



OBRAZKI Z MANEWRÓW — NAPISAŁ ZYGMUNT JORDAN. ILUSTROWAŁ A. ŻMUDA

Zginęły już za nami miejskie mury, koszarowe kwadraty, stajnie długie i czyste, z całym ich ceremonjałem, tabliczkami i wieszadłami!

Dziewiąta godzina dawno minęła, a trąbka wieczorna nie spędza nas do dusznej sali. Srogi wachmistrz, co wieczorami skrupulatnie badał, czy mundury równo w kostki ułożono, wymyślając cudnie dobranemi słowy każdy wystający fałd — teraz zmiękł, złagodniał, ot — jedzie za szwadronem i gwarzy z ułanami, jak dobry, starszy kolega.

Ostatni raport na podwórzu kaszarowem i pułk trójkami wywinął się z ciasnych uliczek, minął domki przedmieścia i stanął na szosie, pod wyiskrzonem, sierpniowem niebem. Stąd szwadrony ruszają jeden po drugim, w odstępach kilkuset kroków, aby uniknąć kurzu. Głosy komendy dochodzą z ciemności, szczęk kopyt zagrzmi zrazu na twardej nawierzchni szosy i milknie po chwili, przechodząc w ciche, ginące w oddali dudnienie. To jeźdźcy, uformowawszy się w dwa rzędy, zjechali ze środka drogi na miękkie brzegi przy rowach i zapadłszy w cień przydrożnych drzew, wsiąknęli w noc. Tylko od czasu do czasu zadzwoni munsztuk, albo podkowa, natrafiwszy na kamień, pryśnie nad ziemią złotą iskrą, stuknąwszy cicho.

Hej! — Droga przed nami prosta i długa, a za nami smuga kurzawy i niknąca w oddali łuna gwarnego i ciasnego miasta... Wyszliśmy na wolność, na żołnierską zabawę, na bezkrwawy bój jesiennych manewrów!

Nocne biwaki, wielkie, znojne marsze w skwarze południa, rosiste, liljowe świty na placówkach i kraśne dziewczęta o zachodach słońca — oto teraz życie ułana, życie, do którego stworzony został ten nieodrodny duchowy spadkobierca dawnych zagończyków kresowych, którym step ukrainny był domem, a gwiaździste niebo — dachem.

* * *

— Jasiek, masz papierosa?

Jakiś koń rusza parę kroków kłusem, strzemię zadzwoniło o strzemię, potem krótki błysk zapałki i ściszona rozmowa.

Ztyłu dolatuje wysoki, ostry głos wachmistrza-szefa:

— Nie kłusooować!

Noc jest chłodna i wyiskrzona gwiazdami. Jak okiem sięgnąć, po bokach drogi leżą pastwiska i soczyste łąki, przerywane od czasu do czasu złotawem pasmem rżyska, ciemną masą olszynki lub majaczącą w oddali nikłą plamką łozy.

Rotmistrz przepuścił szwadron przodem, zlustrował w ciemnościach doświadczonem okiem porządek marszu, zamienił parę słów z szefem i wyjechał znów na czoło.

— Już po północy — mówi porucznik, spojrzawszy na fosforyzującą tarczę zegarka.

— Wleczemy się strasznie — narzeka rotmistrz. — Nic, tylko stęp i stęp...

— Żeby tylko dobre kwatery i jaki taki bridż... — wzdycha trzeci oficer, rezerwista.

— Tam, gdzie staje dowództwo, jest świetna kwatera. Staliśmy tam przed kilku laty: duży dwór, olbrzymie stodoły, ładne panny.

Rezerwista wybucha śmiechem.

— Też zestawiłeś! Stodoły i panny...

— Ach, ty cywilu! Nie rozumiesz, że dla kawalerzysty, najważniejsze na kwaterze, to miejsce dla koni w stodołach i ładne panny w domu... Szczególnie dla dowódcy szwadronu...

Daleko w przodzie zagrała trąbka. Najpierw krótką, alarmującą nutę — to „baczność"; potem kilka taktów skocznej strofki i znowu przerwa, wreszcie dwa przeciągłe, zniżające się tony — to „kłusem" i „marsz". Gdzieś przed nami poprzedzający nas szwadron rusza kłusem, a już nasz trębacz przerzucił trąbkę z pleców, podniósł ją do ust — i te same trzy sygnały przerwały ciszę nocną. Na „marsz" wszystkie konie równocześnie ruszają. W parę sekund, za nami powtarza się w oddaleniu trzeci sygnał. To trzeci szwadron zakłusował, potem czwarty, karabiny maszynowe, wreszcie ucichło wszystko. Cały pułk, rozciągnięty na szosie długim, półtorakilometrowym wężem, posuwa się teraz kłusem. Daleko wtyle słychać głuchy turkot: to tabor pułkowy ruszył szparko naprzód, dudniąc na twardej jezdni grubemi obręczami kół.

* * *

— Prosimy, prosimy, panie poruśniku! A dy my dawno wojska nimieli, to się chłopakami ucieszymy. Jest i komórka wolna na magazyn, jest! W stodole ino gratów trochę na boisku, ale się sprzątnie i choćby sześć koni wygodnie stanie. A lo wachmistrza izdebka się umiecie i będzie miał kancelaryję, jak w koszarach.

Stary gospodarz oprowadza kwatermistrzów po obejściu, wskazuje, doradza, zachwala. Sołtys, z miną ministerjalną, kroczy za nimi; radby pomóc i jednej i drugiej stronie: aby wojsko nie miało pretensji o złe kwatery, a sąsiedzi — aby nie narzekali, że sołtys kłopot im robi. Zawsze to... wojsko odejdzie, a wieś zostanie...

Ale dziś sołtys niewiele ma tu do gadania. Chciałby co biedniejszym ludziom, kumom i znajomkom ująć ambarasu, ale wieś — jakby ją co urzekło—ludziska wylegli na drogę, kędy kwatermistrze się uwijają i każdy prosi, jak o łaskę, żeby do niego żołnierzy dać, żeby konie w stodole postawić; graty z boiska obiecuje usprzątać, żeby się koniska nie poobijały, zaprasza i wygodę obiecuje jaknajwiększą.

Sołtys pamięta dawne czasy, kiedy Austrjacy we wsi kwaterowali; każdy oganiał się, jak od nieszczęścia, od przyjęcia kolorowych ułanów w czerwonych spodniach i błękitnych bluzach. A teraz, jakby te szare żołnierzyki do rodziny w gościnę przybywały.... Sołtys kręci głową w zdumieniu, ale czuje, za sam gotów z babą i dziećmi w sadzie nocować, a tym naszym ułanom chałupę całą oddać, niechby wygodnie mieli!

W trzech wsiach sąsiednich nastrój panuje, jak przed świętem. Dziewczęta wymyte, wyczesane, wystrojone poschodziły się w końcu wsi, każda niby interes jakiś ma do załatwienia, a każda patrzy na gościniec, czy od lasu nie zamajaczy w oddali las proporczyków i piosenka ułańska nie zabrzmi na powitanie.

A kwatermistrze, uporawszy się z zadaniem, pomyślą teraz o sobie. Wiadomo — gdy pułk przybędzie, to najlepsze kwatery, gdzie najładniejsze dziewczęta, na łóżkach najwyższe stosy pierzyn i poduszek — zajęte już będą przez tych, którzy tu byli pierwsi...

* * *

— Józiu! Józiu!!! Jedź tu z swojem wojskiem. Galopem! Pół plutonu wystarczy! Józiu! Przetenteguj mi tych, co to nas z flanki natentegowują! Ale już!

Stary rotmistrz rezerwy, chłop serdeczny, w prawdziwych bojach posiwiały, stoi na ciasnym placyku, pod kościółkiem i drze się, jak stare prześcieradło.

Kazano mu dowodzić pułkiem. Od wczoraj prowadzi go naprzód, przezwyciężając wszelkie przeszkody, spędzając „nieprzyjaciela" z każdej pozycji, wytrwale dążąc do zwycięstwa. Bojowy chłop! Powinien zdać egzamin na majora.

Tylko z rozdawaniem rozkazów jakoś nie idzie... Przeczytał w ciągu dwóch dni kilka regulaminów, ale pomieszały mu się w głowie i w nagłej potrzebie powrócił do starej, frontowej gwary, na którą składa się przeważnie jedno słowo, niebardzo przystojne, a oznaczające różne rzeczy, zależnie od przysłówka, jaki doczepi mu się na początku. Aby nie urazić uszu Czytelnika, nazwijmy to słowo: „tentegować"...

Młodszy oficer, który otrzymał ten „soczysty" rozkaz, zrozumiał go jednak w lot. Wie, że przed wsią, za wzgórzem, usadowił się nieprzyjaciel, a nasze szwadrony poszły do pieszego natarcia. Wie, że za chwilę zro-

bią porządek i trzeba im będzie podać konie do pościgu. A tu — jak na złość — na flance, koło cmentarzyska usadowiła się jakaś mizerna okruszyna, która z karabinu maszynowego pluje na wylot szosy i uniemożliwia konowodnym przedostanie się do oddziałów. Trzeba ich „przetentegować", albo poprostu zlikwidować.

Porywa pół plutonu, wpada galopem w boczną drogę i niknie między chałupami. Za chwilę, na końcu wsi, nawprost cmentarzyska, zaszczekał jego Rkm. Od chałup, grzbietem wzgórza wysuwają się postacie żołnierzy i padając co chwila na ziemię, podchodzą, kryci ogniem Rkm'u, ku nieprzyjacielskiej placówce.

W dziesięć minut pole na flance jest oczyszczone; złośliwa nieprzyjacielska maszynka umilkła i konowodni wychodzą bezpiecznie ze wsi kłusem, aby zdążyć do swoich oddziałów. Za chwilę młody podporucznik wraca z udanej wyprawy ze swym półplutonem.

Na zakręcie, u wylotu drogi, spostrzega starego Fordziaka, a obok stoi dobrze znana, barczysta wysoka postać brygadjera. Oparty na lasce, w butach i jasnych bufiastych knikerbocker'ach, wygląda jak szlachcic wiejski, który wyszedł na folwark, aby doglądnąć roboty

Skinął na młodego oficera.

— Panie poruczniku, jaki rozkaz pan otrzymał?

Podporucznik zarył konia przed dowódcą brygady i salutując, wyjaśnia cel i rezultat przeprowadzonej akcji.

Ale brygadjer potrząsa głową przecząco i choć mars srogi osiadł na jego czole, oczy uśmiechają się jednak poczciwie.

— Nie to, nie to — mnie chodzi o rozkazodawstwo: czy pan zrozumiał rozkaz, jaki panu wydano?

— Psiakrew! — myśli podporucznik, spojrzawszy ze współczuciem na stojącego opodal rotmistrza rezerwy. — Licho brygadjera nadało! Musiał akurat w tamtej chwili stać gdzieś za chałupą i słyszał wszystko! Biedny Karol..., ale poco tak wrzeszczał...?!



Ułańskie amory.

I z pewną siebie miną, patrząc w oczy brygadjera, odpowiada głośno:

— Tak jest, panie pułkowniku!

Brygadjer uśmiechnął się powątpiewająco, wsiadł do samochodu i odjechał.

Za chwilę pod kościółkiem rozpoczęła się cicha rozmowa.

— Skąd on wylazł?!

— Z za tamtej stodoły...

— Słyszał twój rozkaz?

— Naturalnie; przecież ryczałem jak ba wół!

— Nie martw się. Dobry chłop; najwyżej w rozkazie brygady będzie przypomnienie „o stosowanie regulaminowego rozkazodawstwa", a tobie głowy nie urwą..

* * *

— Czego tu stoisz, Władek?

— Czekam...

— Na dziewczynę?

— Jakbyś zgadł!

— Aha.. to pewnie ty, szelmo, z tą nauczycielką... A ja w głowę zachodziłem, dlaczego ona taka niedostępna; a to poprostu — bo już znalazła innego ananasa!

— Wcale nie z nauczycielką. Z nauczycielką, to podchorąży Zagórski. Mam na oku coś lepszego. Prosta dziewczyna. Ale co za cacko!

— Która to?

— Co cię to obchodzi?!

— Zdaje mi się, że długo poczekasz... Nie dalej jak wczoraj i ja przekonałem się, że to nie tak łatwo. Musiała być z tych tu gdzieś chałup, bo od moich gospodarzy w tę stronę poszła. Powiadam ci — śliczna! Zgrabna jak łania, nogi doskonałe; świeciła ku mnie cały czas takimi zębami, że mogłaby za reklamę Odolu służyć...

— Zębami powiadasz?

— Pierwszorzędne zęby miała!

— W czerwonej chustce?

— W czerwonej...

— W krótkiej spódnicy niebieskiej?

— Tak. Łydki ma takie, że..

— Brunetka...

— Jak noc! I czarne oczy.

— No i co? Gadaj — no i co?

— Ach... tak?.. Teraz rozumiem... To ty bracie krajowy na nią tu czekasz? Toś się wybrał! Ja też ją chciałem przyłapać i wiesz, gdzie ją wkońcu znalazłem.

— Gdzie?

— Z twoim ordynansem, Grzelą, za stodołą. Jakeś ciekaw, to idź, zobacz! Mogę cię zaprowadzić. Znajdziesz ich napewno pod gruszą na lewo, przy ostatniej stodole...

— Psiakrew! Dam ja mu szkołę!...

— Za co?! Za to, że ma dobry gust? Daj spokój — ona nie dla ciebie, aniś ty dla niej. One wszystkie do oficerów nie mają zaufania. Człowiek się namęczy, nałazi, prezenty narobi, gęby nastrzępi napróżno, a taka nic, tylko głupio chichocze. Chodź lepiej do księdza na dobre wino! Przyda ci się towarzystwo duchownej osoby — humory ci z głowy przepędzi.

I dwaj młodzi podporucznicy odchodzą w stronę plebanji. Z ciemności słychać jeszcze urywek rozmowy:

— To sobie bracie zapamiętaj, że z chwilą nominacji na oficera — zyskujesz wiele, ale i tracisz także. U młodej nauczycielki, u miastowych dziewczynek — ubiegną cię zawsze podchorążacy; a u wiejskich dziewcząt — twój własny ordynans, albo kapral... Taki nasz oficerski los...

* * *

W wielkim salonie białego dworu orkiestra pułkowa gra starego walca. Wirują po błyszczącej posadzce przytulone pary. Ostatni wieczór; pułk jutro świtaniem wyrusza dalej, na nowe marsze, na nowe potyczki, na inne kwatery.. Wyrusza po kilkunastu dniach pobytu.

Gospodarz domu usiadł przy pułkowniku; wiodą poważną rozmowę. O polityce, o zbiorach, a najwięcej o koniach. Przed nimi pękata, zielona butelka starego węgrzyna i małe, kryształowe kieliszki, bogate złotem starego tokaju.

Rozmawiając, pułkownik co chwila rzuca okiem na salę. Czasem skinie na któregoś z oficerów, szepnie coś nieznacznie, lub ręką da znak. Zabawa idzie składnie i wesoło, jak szła w tych samych ścianach lat temu sto i dwieście. Stary dwór śni o minionych wiekach, o towarzyszach pancernych, którzy w tej sali piękne panie w polonezie wodzili, o smukłych, złotem kapiących szwoleżerach Wielkiej Armji, co mazura zaczęli w salonie, a skończyli go pod stajnią, odprowadzeni przez tancerki aż do koni — aż do „wsiadanego".

W kącie sali piękna brunetka o wysmukłej, wężowej talji, wsparta na ramieniu rotmistrza, tańczy sennie, patrząc rozmarzonym wzrokiem w drapieżne, zuchwałe oczy dansera.

— Bardzo? — pyta półgłosem, odchyliwszy głowę w tył i uśmiecha się, pewna odpowiedzi.

— Strasznie! — odpowiada niecierpliwie rotmistrz i silniej przyciska ją do siebie.

— Zobaczymy.. Będę w Warszawie za miesiąc.

* * *

W starym parku, nad stawem — inna gra kapela. Żaby dziś rozgadały się, jak w wiosenny wieczór; w dźwięczne fagoty kumkania wplata się czasem akord fałszywy — „kooaks"! — jakby ktoś smyczkiem przeciągnął mocno po wszystkich strunach naraz; widocznie zasady modernizmu dotarły aż tutaj... A tłem muzycznem jest jednostajne brzęczenie komarów — są ciche, nieuchwytne poświsty nietoperzy i szum tataraku.

W ciemnej alei, przytulone do siebie dwie postacie; majaczy w mroku jasna plama powiewnej sukienki i biały otok ułańskiej rogatywki.

— Tak pusto jutro będzie u nas... I tak mi ciebie będzie brakowało... Ojciec obiecywał dziś pułkownikowi, że wybierzemy się na święto pułkowe.

— A widzisz... to zaraz po manewrach!

— A nie zawieruszysz się, jak mię z oczu stracisz?

Nad stawem robi się nagle cicho, jakby wszystko zamarło w oczekiwaniu odpowiedzi.

Jest nią szmer pocałunku...

* * *

Na końcu wsi, gdzie ostatnia stodoła wcisnęła się pod opiekuńcze konary dzikiej gruszy, świerszcze polne wygrywają szaloną upojną sarabandę.

W dzwoniącą melodję wkradły się jakieś szepty....

Wtuleni w krzak dzikiego bzu, ledwo widoczni w mroku — dziewczyna i ułan. Ona mówi pospiesznie, on odpowiada jej półgłosem, ręką objąwszy kibić.

— Ledwom się wysunęła, tak mnie pilnują... Boją się, bo „starszy" łaził za mną. Straśnie się napierał...

— E... wachmistrz śpi teraz jak bąk! Kazał się obudzić o trzeciej.

— Porucznik, ten młody, cosi próbował, mydełko mi dał pachnące, zaczepiał..

— Ten mój.

— Niee... Tamten czarny... Twój też poglądał za mną, ale jakoś dał spokój.

— Maryś...!

— Idźże zbereźniku!.. Nic, ino ciągiem Maryś i Maryś... Casu niema, trza wracać do chałupy. Jak się mama obudzom, to bedziesz miał „Maryś"!

— Nie obudzą się; dałem im z wieczora piwa. Śpią jak zabici...

— Coześ taki brewiderny.. Puscaj, bo mi sprząckę od pasa wbijesz na ament w ramię!... Pojedzies... pojedzies — a co ze mnom będzie? Jednacyście wszyscy...

Świerszcze grają...



Powyżej: Oto, jak wygląda puszcza nad brzegami królowej rzek — Amazonki.

KRÓLOWA RZEK
i jej niezbadane tajemnice

Prawdziwą królową rzek świata jest Amazonka. Przepływa ona w poprzek niemal całą Amerykę południową, wypływając z Andów, biegnących południkowym łańcuchem u brzegów Oceanu Spokojnego, a wpadając nad samym równikiem na wschodzie do Oceanu Spokojnego. Tworzą ją wielkie rzeki Ucayala i Maranon. W półn. Peru łączą się one w jedną potężną arterję Amazonki. Długość tej najdłuższej na świecie rzeki wynosi 6800 kilometrów, a więc 6 i pół razy więcej od naszej Wisły, szerokość zaś wynosi od 30 do 80 km. Nic więc dziwnego, że w odległości 4000 km od oceanu Amazonka jest jeszcze dostępna dla statków oceanicznych. Miasto Iquitos, znajdujące się na terytorjum peruwiańskim w odległości 4200 km od Atlantyku, posiada charakter portu morskiego i ma bezpośrednie połączenia z portami całego świata. Dorzecze Amazonki obejmuje olbrzymi obszar ok. 7 miljonów kilometrów kwadratowych t. j. przeszło 1/3 część powierzchni Ameryki południowej. Jest to obszar kilkanaście razy większy od całej Polski, a obejmujący prawie 3/4 Europy.

Przepłynąwszy w poprzek całą Brazylję, wpada Amazonka do Oceanu Atlantyckiego, wlewając w każdej sekundzie około 100.000 m³ wody. Jest to zaledwie 1/4 tej ilości wody, jaką Amazonka otrzymuje z opadów atmosferycznych: reszta bowiem wyparowuje w licznych zastoiskach, zalewach, martwych odnogach i olbrzymich błotnistych obszarach nadbrzeżnych, które podczas wylewów wchłaniają i zatrzymują ogromne ilości wody. Jeszcze w odległości 300 km od wybrzeży brazylijskich można na pełnem morzu odczuć wpływ prądu tej potężnej rzeki.

Koryto Amazonki jest głębokie, a prąd wody płynie z dość regularną prędkością ok. 5 kilometrów na godzinę. Pokryta setkami wysp, nieraz zamieszkałych, często jednak tylko porośniętych bujną, nieprzebytą roślinnością, stanowiącą schronienie dla bogatego świata zwierząt, tworzy Amazonka jakgdyby labirynt licznych kanałów, w których niełatwo stracić drogę i zagubić się. Dopiero w czasie ogromnych powodzi, gdy większość wysp i wysepek znika pod powierzchnią wody, ogrom i potęga bezmiaru szalejących wód przejmuje zgrozą. Nic wtedy nie ostoi się przed nieokiełzanym żywiołem. Najpotężniejsze drzewa prastarej puszczy padają jak kruche gałązki i niesione są na spienionych brudno-żółtych falach. Żadnego oporu nie mogą stawić również zabudowania człowieka, wciągnięte wraz z całym jego dobytkiem w głębie szalejącej rzeki, w której nurtach ginie też niejedno życie ludzkie.

Największe wylewy Amazonki powtarzają się dosyć regularnie. W górnym swym biegu Amazonka — Maranon przybiera w lutym, kiedy w górach Peru, Ekwadoru i Boliwji zaczynają topnieć śniegi: w północ-

Dokończenie na str. 14-tej i 15-tej.



Na prawo: Trofeum plemienia Jivaro z nad Amazonki. — Muzeum w Guayaquil.



Na prawo: Indjanie z plemienia Jivaro i kierownik amerykańskiej ekspedycji filmowej.





Ciąg dalszy ze str. 11-tej.

nych znowu dopływach największy poziom wód występuje we wrześniu. Potężne spustoszenia czynią wylewy zwłaszcza w dorzeczu dopływów. Wody podnoszą się nierzadko na wysokość kilkunastu metrów ponad normalny poziom, rozlewając się na nizinnych obszarach na setki kilometrów. Powstaje niesamowita „puszcza wodna“ tak malowniczo opisywana w opowieściach dla młodzieży przez Mayne Reida i innych pisarzy. Zwierzęta cofają się w popłochu ku wyższym miejscom, lub szukają schronienia na drzewach. Naśladują je nieraz ludzie, zmuszeni często szukać ratunku i ocalenia na łodziach i prymitywnych tratwach.

Wpływ oceanu w postaci przypływu i odpływu daje się odczuć na wodach Amazonki nietylko niedaleko ujścia, lecz nawet w odległości kilkuset kilometrów od niego. Szczególnie podczas pełni lub nowiu księżyca w dolnym biegu Amazonki pojawiają się poprzeczne fale podążające w górę rzeki. Potężne te fale, których odgłosy słychać z odległości kilku kilometrów, idą całą szerokością rzeki, a kilkumetrowa ich wysokość zatapia napotykane na swej drodze łodzie i sprowadza niejedno zniszczenie. Nic też dziwnego, że mieszkańcy Amazonki budują na wysokich palach prowizoryczne chatki, przypominające budowle palowe człowieka przedhistorycznego.

Dopływy Amazonki są liczne i utworzone przez potężne rzeki, które swą długością często przekraczają 1000 kilometrów, a nawet 2 i 3 tysiące km, jak największy z lewobrzeżnych dopływów Amazonki Rio Negro (2000 km), dalej Rio Yapura (2800 km), Ucayali (2760 km), Rio Xingu (2100 km), a przedewszystkiem największy dopływ Amazonki Rio Madeira o długości 3250 km. W znacznej części swych biegów są one rzekami spławnemi. Podobny charakter posiadają ich dopływy, nieraz równie wielkie rzeki. Ze swymi żaglownymi dopływami daje Amazonka około 80.000 km dróg komunikacyjnych t. j. dwa razy więcej, niż obwód ziemi na równiku.

Najbardziej charakterystycznemi cechami klimatu panującego w przeważającym obszarze dorzecza Amazonki są: wysoka średnia temperatura lata i największe opady atmosferyczne. Stwarza to nieznośną wilgotność i niezdrowe warunki dla człowieka białego, który z trudnością znosi dłuższy pobyt w tych nizinnych obszarach. Zato w tych warunkach rozwinąć się może najbujniejsza flora i najbogatsza fauna.

Jedyne dojście do bardziej odległych obszarów od ujścia Amazonki stanowią arterje rzeczne. I chociaż może wydać się to mało prawdopodobne w dzisiejszym wieku postępu, radja i lotnictwa, niemal cały ten olbrzymi obszar oparł się zwycięsko wpływom cywilizacji, która dotarła jedynie — w najbardziej zresztą powierzchownej postaci — do najbliższych sąsiedztw wielkich żeglownych arteryj rzecznych. Dalsze, olbrzymie obszary — to jeszcze w dalszym ciągu białe plamy na mapach, o których nic niemal nie wiemy. Zwłaszcza bardziej odległe obszary górnych biegów dopływów Amazonki i ich źródlisk, często mało dostępne wskutek trudnych do przebycia katarakt należą do najbardziej tajemniczych i najmniej zbadanych obszarów na kuli ziemskiej, na których często jeszcze dotąd nie stanęła noga człowieka.

Dotarcie do tych niezmierzonych obszarów nie ułatwia bujność przyrody. Świat roślinny cechuje niesłychane bogactwo gatunków, brak jednolitych drzewostanów przy wysoce rozwiniętem współżyciu różnych typów roślinnych i nadzwyczajna szybkość rozrostu. Tam gdzie jeszcze przed paru laty na wykarczowanej w pocie czoła przestrzeni założono osiedle ludzkie i hodowlę jakiejś rośliny pożytecznej, zwycięsko wkracza przyroda puszczy, gdy tylko człowiek na krótko opuści to miejsce i przerwie walkę z niezmożoną żywotnością przyrody egzotycznej.

Pod względem bogactwa gatunków zwierząt żadna kraina nie może dorównać Brazylji. Szczególnie licznym jest wspaniale ubarwiony świat ptaków, których dotąd poznano ponad 600 gatunków. Wody dorzecza Amazonki są siedzibą ponad 2000 gatunków najróżnorodniejszych ryb. Znacznie liczniejszy jest świat owadów. Szczególnie piękne są olbrzymie, różnobarwne motyle o ciekawym rysunku skrzydeł. — Prawdziwy to raj dla przyrodnika, który na każdym niemal kroku dojrzeć może nową roślinę czy nieznany gatunek owada.



W puszczy brazylijskiej.

Poniżej: Preparowanie małpiej czaszki przez Indjan Jivaro.



Wiele jednak niebezpieczeństw kryje ten egzotyczny obszar świata. Ktoś powiedział, że dla człowieka, wkraczającego na teren amazońskiej puszczy, istnieją tylko dwa piękne dni. Jednym z nich, to pierwszy dzień wędrówki, gdy oczarowany nieporównanym przepychem i bogactwem sądzi, że znalazł się w raju — drugi i ostatni, gdy bliski obłędu ucieka z tego „zielonego piekła“.

Ujście Amazonki zostało odkryte przez Hiszpana Pinzona w kilka lat po pierwszej podróży Kolumba. W całej niemal długości przebył ją w połowie XVI wieku Orellana, który dołączył się na stoku Andów do wyprawy głośnego Pizarra. Jedynie dzięki szybkości statków i karności pewnej i doświadczonej załogi cało zdołał ujść licznym niebezpieczeństwom, ścigany nieraz przez miejscowe plemiona. Pierwszą mapę Amazonki zawdzięczamy Jezuicie Samuelowi Fritzowi, zwanemu Apostołem Amazonki. Sporządził on ją według informacyj i notatek La Condamina słynnego podróżnika i uczonego z pierwszej połowy XVIII wieku. Pierwsze badania przyrodnicze trzeba przypisać głośnemu niemieckiemu podróżnikowi i przyrodnikowi Aleksandrowi Humboldtowi, który z greckiego obszar puszczy amazońskiej określił nazwą Hylaea. Niezmiernie bogate zbiory przyrodnicze z nad Amazonki i jej dopływów zebrał angielski przyrodnik H. W. Bates, przebywający przez 11 lat (1848—1859) w sercu brazylijskiej puszczy: przez cztery lata towarzyszył mu znany przyrodnik A. R. Wallace. W tym czasie także rząd brazylijski dokonał pierwszego dokładniejszego zdjęcia topograficznego całej rzeki i odtąd co pewien czas zarówno ze strony i z poparciem władz brazylijskich, jak i krajów i naukowych instytucyj Europy organizuje się wyprawy i ekspedycje dla zbadania wnętrza tajemniczej puszczy. Niejedno z nich wraca, odkrywając nowe obszary, przywożąc liczne zbiory i wzbogacając zasób wiadomości o tym kraju. Nieraz jednak napróżno czekają w stolicy Brazylji, czy w którejś z miast Europy na powrót członków wysłanej ekspedycji. Ginie ona gdzieś w niedostępnych i zabójczych dla białego człowieka bagniskach, czy to z wyczerpania, choroby, zalewu niespodziewaną powodzią, czy wreszcie z ręki jakiegoś plemienia indyjskiego, broniącego dostępu białym przybyszom.

Najgłośniejsza była historja i tajemnicze zaginięcie angielskiego pułkownika Fawcetta, opisy wracające co pewien czas na szpalty dzienników i poruszające opinję całego świata. P. H. Fawcett, wytrawny oficer służby angielskiej, został w latach 1906 — 1909 „wypożyczony“ rządowi boliwijskiemu dla zbadania i wyznaczenia znacznego odcinka granicy brazylijsko - boliwijskiej. Z wybuchem wielkiej wojny Fawcett musiał wrócić do Europy, by wziąć udział w walkach na froncie zachodnim. Po demobilizacji wrócił zaraz do Brazylji i w dalszym ciągu podjął niebezpieczne, pociągające go jednak podróże i badania.

Gdy od Indjan, przybyłych ze stanu Matto Grosso, dowiedział się o istnieniu licznych ruin, całą swą energję postanowił skierować na wyjaśnienie tej zagadki i dążyć do odkrycia Zaginionego Miasta. Już w roku 1920 dokonał pierwszych prób zbadania obszarów, położonych w stanie Matto Grosso. Na północ od stolicy stanu Cuyabá, wyprawa jednak została zatrzymana przez roztopy i załamanie się towarzyszy. Fawcett musiał zawrócić. Człowiek ten jednak odznaczał się żelazną energją i wytrwałością i żadne przeszkody nie mogły go powstrzymać.

„Powodzenie każdej wyprawy — pisał — zmierzającej do zbadania tej okolicy, zależy od doboru ograniczonego grona członków, którzy muszą umieć w razie potrzeby obejść się bez tragarzy, nawet w bardzo ciężkich warunkach". Użycie zwierząt jucznych okazało się niemożliwe wskutek zbyt gęstego podszycia puszczy i niezmierzonych ilości dokuczliwych owadów. Na tragarzy znowu nie bardzo można było liczyć, ponieważ naogół jedne szczepy żyją w nienawiści i trwodze przed sąsiadami, rzadko też decydują się towarzyszyć podróżnikom poza granice swego terytorjum. Ponieważ w tej części Brazylji nie jest zbyt łatwo o żywność, wyprawa nie mogła być zbyt liczna.

20 kwietnia 1926 roku płk. Fawcett opuścił miasto Cuyabá, podążając w kierunku północno-wschodnim, ku źródłom rzeki Xingu. Towarzyszyło mu tylko dwóch białych, a mianowicie jego 21-letni syn i tegoż przyjaciel Anglik, Jack Rimmel. Szli oni tą samą drogą, którą Fawcett przebył w r. 1920. Z obozu, odległego o 150 km od stolicy, gdzie zatrzymali się z końcem maja, Fawcett wysłał depeszę do „North American Newspaper Alliance". W tej ostatniej wiadomości, przekazanej światu, donosił: „Od tego miejsca nasi dwaj przewodnicy wracają. Im dalej zagłębiamy się w kraj indjański, tem bardziej stają się nerwowi"... Obiecuje jeszcze przesłać wiadomości przez jakiś przychylny szczep: zaznacza jednak równocześnie, że wątpi, czy to będzie możliwe.

I tak się rzeczywiście stało. Od tego dnia żadna już wiadomość od Fawcetta i jego towarzyszy nie nadeszła. Głucha puszcza pochłonęła ich bezpowrotnie.

Nie uwierzono jednak odrazu, że tak doświadczony podróżnik miał zginąć. Przyczyniły się do tego wiadomości, przynoszone przez Indjan, że w okolicach rzeki dos Mortes (rzeki umarłych) widziano białego człowieka. Z dużym nakładem trudów i kosztów organizowano jedną wyprawę po drugiej. Nie przyniosły one jednak żadnych wiadomości o Fawcecie. Los jego wyprawy pokryła tajemnica odwiecznej puszczy.

Jedną z trudności wyjaśnienia tej tajemnicy — trudności, które równocześnie zawsze stawały na przeszkodzie powodzeniu wypraw w głąb kraju, to różnorodność plemion indjańskich. Ilość Indjan, zamieszkujących Amazonję, jest nieuchwytna. Przypuszczalnie wynosi ona obecnie około 200.000 dusz, rozbitych jednak na setki plemion. Część z nich, to plemiona osiadłe i przywiązane do określonych obszarów; inne jednak to dzicy koczownicy. Północnowschodnią część obszaru zamieszkują głównie Indjanie z grupy Karaibów, południowschodnią — z grupy Tupi, zachodnią — Aruakowie, najbardziej wschodnią — plemiona z grupy Ges. Grupy te jednak wzajemnie mieszają się, rozpadając się ponadto na niezmiernie liczne plemiona, o mało znanych nazwach, jak Puru—Puru, Paumary, Yamamadi, Menetiniri, Munoruku i wiele, wiele innych.

Poszczególne plemiona indjańskie żyją przeważnie własnem życiem, nie wiele utrzymując kontaktu z sąsiadami, a często pozostając z nimi w stanie wiecznej, nieubłaganej wojny, w której najczęściej posługiwaną bronią jest zatruta strzała, wypuszczana z łuku czy dmuchawki. Plemiona te mówią różnymi językami, a istnieją nawet takie, w których kobiety posługują się innym narzeczem niż mężczyźni. Również i zwyczaje ich różnią się bardzo od siebie, przechodząc z pokolenia w pokolenie drogą odwiecznej tradycji. Przez długie jeszcze lata będą one stanowić bogaty materjał odkrywczy dla ekspedycyj naukowych.

Jednej ekspedycji amerykańskiej, wysłanej w obszar najgórniejszego biegu Amazonki i jej dopływów, udało się poznać bliżej życie tajemniczego szczepu Indjan Jivaro, żyjących na przestrzeni pomiędzy dwoma dopływami Amazonki, a łańcuchem Andów. Szczep Jivaro znany był już dawniej z tego, że poluje podobnie, jak niektóre plemiona malajskie ze środkowego Borneo, na głowy swych przeciwników. Nie wystarczało im zdarcie skalpu, praktykowane przez ich krewniaków z Ameryki północnej. Odcięcie głowy przeciwnikowi, preparowanie jej następnie i przechowywanie jako cenne trofeum — to cel wypraw wojennych.

Dzięki licznym podarunkom członkowie wyprawy amerykańskiej mogli uczestniczyć w preparowaniu czaszki, stanowiącem jakgdyby ceremonję religijną. Z zrozumiałych względów do tego celu nie użyto czaszki ludzkiej, lecz małpiej, której zresztą budowa anatomiczna jest bardzo zbliżona do ludzkiej. Wprawnemi rękami oddzielił wybrany członek plemienia skórę twarzy i głowy od kości. Po usunięciu mięsa otwór ust i powieki zeszyto długiemi włóknami palmowemi, poczem umieszczono taką bezkostną głowę w kotle z gorącą wodą, do której dodano nieznaną mieszaninę wyciągu z ziół i korzeni. Taka kąpiel powoduje zmniejszenie objętości głowy do 1/3 pierwotnej wielkości. Teraz wypełniają ją Indjanie piaskiem i wygładzają zewnętrzną powierzchnię, otrzymując rodzaj miniaturowej mumji. Takie zakonserwowane głowy noszą nazwę „chancha" i przechowywane są jako świętość. Sfilmowanie tego obrzędu stanowi niezmiernie ciekawy dokument zanikających zwyczajów, przypominających zamierzchłe czasy ludzkości.

Niejedną podobną zagadkę kryją jeszcze niezbadane puszcze nad Amazonką i wiele jeszcze wody w niej popłynie do oceanu, zanim na miejsce niezwyciężonej przyrody i jej pierwotnych mieszkańców pojawi się i zatrzyma na stałe biały człowiek ze swą cywilizacją.

dr. M. K.



Na lewo: Wódz plemienia Jivaro z zasuszoną głową małpy, z której usunięto części kostne.

Zdjęcia: Ada — Amsterdam.

Poniżej: Końcowa faza przyrządzania „chancha" przez Indjan.



Temat
W OBJEKTYWIE FOTOGRAFIKA



„Pod światło" — fot. Józef Podbrożny, Nowy Sącz.



„W akwarjum" — fot. Feliks Nowicki, Kraków.



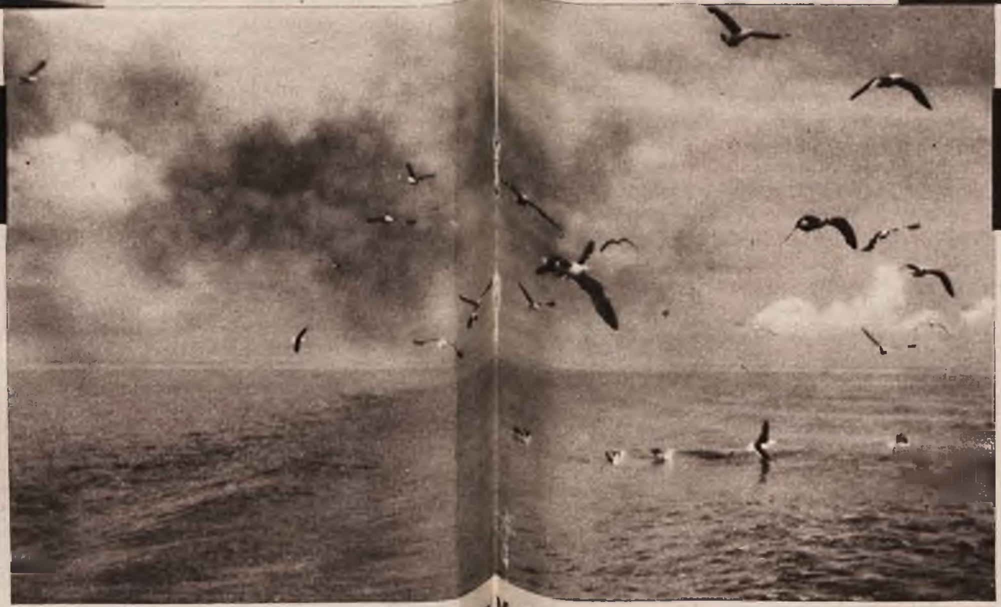
Na lewo: „Pod kościołem", — fot. Edw. Hartwig, Lublin.

Bez przesady można powiedzieć, że przynajmniej czwarta część t. zw. inteligencji z zamiłowaniem uprawia fotografowanie, a mimo to podziwu godnym jest fakt, jak mało mamy fotografików, i jak fotografująca publiczność bezkrytycznie przyjmuje wszystko, co jej narzuci przemysł i pośrednicy.

Niewiadomo dlaczego rozpowszechnione jest mniemanie, że fotografować można tylko w lecie. Fakt ten stwierdzają wszyscy właściciele składów z artykułami fotograficznymi, dla których właściwy sezon zaczyna się dopiero w maju, a kończy we wrześniu. Najciekawsze jest, że tu przemysł sam przeciwko sobie broń wymierzył. Mianowicie nadmierną reklamą wpoił w publiczność przekonanie, że drogim aparatem i na drogich zagranicznych filmach można zawsze i wszędzie robić zdjęcia momentalne. Rzecz oczywista, iż naiwny amator, kupiwszy taki aparat, po pierwszych kilku zdjęciach w szary jesienny dzień przekonuje się, że nic z tego nie wychodzi. Cały zaś dowcip na tem polega, że prawdziwie artystyczne zdjęcia rzadko kiedy można robić na migawkę. Nie tu miejsce na wyczerpujący wykład, gdyż wskazówki krótkie z konieczności nikogo nie nauczą dobrego fotografowania. Zresztą kulturalny Czytelnik zdaje sobie sprawę z tego, że na to, by poprawnie wyrażać się w słowie i piśmie, należy nauczyć się gramatyki, nie ma też żadnego powodu rozsądnego, aby przypuszczać, że poprawne wyrażanie się plastyczne obejść się może bez nauki i że wystarczy tylko kupić jak najdroższy aparat, a reszta sama się zrobi. Profesor Bułhak na ten temat napisał cztery grube książki. Wystawiłbym więc sobie świadectwo wielkiej zarozumiałości, gdybym choć na chwilę przypuszczał, iż w krótkim artykule wyczerpię temat. Chodzi mi zgoła o co innego.

Prawie każdy amator fotografujący uważa, że jest to zajęcie przystojne na wycieczce, gdzieś w podróży, jednem słowem w warunkach wyjątkowych, a fotografując nawet i w podróży najczęściej gromadzi całe masy artystycznie bezwartościowych, dokumentarnych fotek najbliższej rodziny. A wszak aparat fotograficzny w ręku kulturalnego człowieka, który przecież choć trochę estetycznie powinien być ukształcony, może być znakomitym środkiem wypowiedzenia się i dać cały szereg nieraz wysoce wartościowych obrazków, ilustrujących nietylko fasady brzydkich hoteli i w najlepszym razie oklepane arcydzieła architektury, lecz pokazujących prawdziwe, a mało znane piękno codziennego otoczenia.

Fotografja artystyczna czyli fotografika, różni się od innych sztuk



„Mewy" — fot. Janusz M. Borkowski, Kraków.

plastycznych jedynie środkami technicznymi do sztucznego wypowiadania się ale pod wszystkimi innymi względami podlega tym samym prawom i zasadom. Naczelną zasadą wszelkiej sztuki jest reguła, iż niema znaczenia, co się pokazuje, tylko chodzi o to, jak. Z tego wynika, że tematem do zdjęć fotograficznych zgoła nie muszą być okrzyczane z piękności okolice i objekty, choćby dla tej prostej przyczyny, że były one już niejednokrotnie i z pewnością znacznie lepiej ze wszystkich stron odfotografowane. Natomiast z powodzeniem, zwłaszcza do ćwiczeń w tym kierunku, mogą i nawet powinny być tematem zdjęć amatorskich okolice i zabytki codziennego otoczenia. Obojętne, czy to będzie kręta uliczka starego miasta, czy pochylona ze starości chałupina wiejska, czy zwłaszcza coraz bardziej znikające zabytki drewnianego budownictwa.

Tu właśnie uderzam w sedno sprawy. W Polsce zabytków mamy znacznie mniej niż na zachodzie Europy, na co wiele przyczyn się składa. Niefortunne położenie geograficzne na szlaku wszystkich prawie większych wojen, w znacznym stopniu przyśpiesza zagładę starej architektury. Ale może jeszcze bardziej przyczyniło się do tego nasze drewniane budownictwo, tak mało zabezpieczone od pożarów. Niemal corocznie giną bezpowrotnie stare cerkwie, dwory, a choćby nawet chaty i śpichlerze.

Jedyną pamiątką mogą być po prostu fotografje. Nie potrzebuję chyba podkreślać, jakie nieocenione znaczenie mogą one mieć. Wystarczy zacytować Antoniego Urbańskiego i jego „Podzwonne na zgliszczach Litwy i Rusi". Napisał on kilka tomów, w głównej mierze poświęconych rezydencjom na kresach dawnej Polski, a zaopatrzonych w ilustracje na podstawie przeważnie amatorskich fotografij, zebranych z trudem istotnie niezmiernego wysiłku. Zapewne: czem chata bogata, tem rada. Jakie były fotografje, takie są i ilustracje.



Na prawo: „Serce stolicy" fot. Feliks Nowicki, Kraków

Ale mój Boże! cóż to za „kicze". Nieraz aż przykro patrzeć.

Przypuszczam, że wywodami powyższymi potrafiłem przekonać Czytelnika, iż nie brak nam tuż obok siebie tematów do fotografowania. Zkolei postaram się udowodnić, że można je skutecznie i z korzyścią dla ogólnego dorobku kultury narodowej utrwalać, a nawet indywidualnie interpretować środkami najskromniejszymi, wbrew całej reklamie przemysłu i handlu fotograficznego.

Niewątpliwie każdy nieco bieglejszy fotoamator, z własnego doświadczenia wie, jak ludzie reagują na ładne fotografje. Prawie bez wyjątku mówią: ach, jaka śliczna fotografja, pan musi mieć świetny aparat! Ale czy komukolwiek przyszłoby do głowy oglądając obraz, zapytać malarza czy ma dobre pendzle, lub farbę, albo czytając artykuł powiedzieć, że musiał być napisany na doskonałej maszynie? Nonsens oczywisty! Jedynie z łaski przemysłu i jego reklamy skąd inąd ludzie inteligentni wygłaszają takie nonsensy, gdyż przywykli na każdym kroku spotykać hasło: „Tylko tą a nie inną kamerą można

Dokończenie na str. 18-ej.

Dokończenie ze str. 17-tej.

robić dobre zdjęcia", co jest oczywistym fałszem. Wystarczy tylko pobieżnie przejrzeć katalogi, by przekonać się, iż wszystkie prawie kamery rzucane w ostatniem dziesięcioleciu na rynek, są wszak wyposażone w identyczne objektywy kilku czołowych fabryk, bez względu na to, czy to będzie Leica, Contaks, czy kamera na klisze.

Rozsądny człowiek przyzna, iż pudło aparatu nie może mieć i istotnie niema żadnego wpływu na jakość zdjęcia. Co najwyżej pudło to jest mniej lub więcej komplikowane, a zatem tańsze lub droższe. Oczywiście, że damski platynowy zegareczek, broń Boże jeszcze wysadzany klejnocikami, musi być droższy od ordynarnego budzika. Ale oba wskazują te same godziny. Jeżeli zaś chodzi o optykę aparatu, wypada pamiętać, że fabryka uszkodzonego aparatu, we własnym dobrze zrozumianym interesie, nie wypuści na rynek. Inaczej mówiąc, każdy aparat fotograficzny zasadniczo jest dobry. Oczywiście ,iż jak każde narzędzie może być ‹ pewnych specjalnych celów specjalnie przysposobiony. Nas jednak interesują cele zupełnie zwyczajne, a więc służyć im z powodzeniem może równie zwyczajne narzędzie, jakiem jest nawet tani, amatorski aparat.

Już na początku zaznaczyłem, że fotografowania trzeba się nauczyć, tak samo, jak każdej innej umiejętności, a ramy krótkiego artykułu conajwyżej pozwalają na wskazanie kierunku, w jakim ta nauka może iść. Rozumie się, że zagadnienie techniczne rozwiąże teoretycznie każdy dobry podręcznik, ale zważywszy, że celem poznania teoretycznego ma być obraz w zależności od wrodzonego uzdolnienia, bardziej lub mniej pokrewny dziełom plastyki, przeto wybór podręcznika nie jest kwestją obojętną. Za jedyną literaturę w naszym języku napisaną, a uwzględniającą w przeważnej mierze stronę estetyczną fotografowania uważam dzieła Bułhaka, a zwłaszcza jego „Fotografikę". Drugim nieodzownym czynnikiem jest sprawa ćwiczeń. Nie stoi temu zgoła na przeszkodzie pora roku. Przeciwnie! wszystkie wystawy fotografiki uczą, że cierpliwość, doświadczenie i dobry smak pozwalają z powodzeniem fotografować nawet w nocy, a dobrego smaku można nabrać, oglądając dzieła plastyki wybitnych artystów i uważnie zgłębiając tajemnice kompozycji. Tego żaden podręcznik nie nauczy i potrzebnej po temu maszyny żadna fabryka nie wyprodukuje.

PODZIEMIA TARNOGÓRSKIE

Pamiętam do dziś bardzo wyraźnie pewną historję, którą słyszałem przed laty, będąc małym chłopcem. Wątek tego opowiadania i scenerja niesamowitych wydarzeń, które miały miejsce w opuszczonej, tajemniczej kopalni węgla — przykuły moją młodą wyobraźnię w tak silny sposób i stworzyły tak mocną sugestję, że po latach odnoszę się do wspomnianej historji (oczywiście zmyślonej) — jak do faktu, który miał miejsce naprawdę, i który ważnością swej akcji — zahaczył i o moje istnienie.

Historja wspomniana powyżej nie posiada tytułu. Przynajmniej ja go nie pamiętam. Dlatego wydaje się być jeszcze bardziej zagadkową.

Pamiętam nader wyraziście opis czarnych sztolni, przedziwnych szybów, budzących dreszcz jezior i zdradliwych labiryntów, wśród których wydarzyły się bohaterom powieści (po których stronie oczywiście stałem wiernie) — rzeczy zdradliwe i tajemnicze.

Autorem opowiadania był J. Verne. Tytuł książki możnaby więc z łatwością odnaleźć — czego jednak bynajmniej nie pragnę. Wolę, by opowiadanie pozostało na zawsze bez nazwy — tembardziej, że łączy się ono z późniejszemi mojemi przeżyciami, zupełnie wprawdzie bezpiecznemi, ale dzięki dawno przeczytanej pięknej książce — naszpikowanemi urojoną, czy zrodzoną dzięki asocjacjom tajemniczością.

Współczesne dzieci — jak mnie zapewniali księgarze, nie chcą czytać opowiadań Verne'go. Jest on już widocznie zbyt antyczny i zaśniedziały. Ale dzieci nie mogą wiedzieć, że to wszystko, co kiedyś było fantazją pisarza — zwolna, na przestrzeni krótkiego stosunkowo czasu zamieniło się w realną rzeczywistość, w prawdę namacalną.

Wizjonerstwo Verne'go z biegiem lat stawało się dla mnie coraz bardziej frapujące, aż wkońcu, któregoś wiosennego dnia obudziło we mnie szczery podziw.

Wspominając o „historji bez tytułu" i łącząc ją z późniejszem osobistem przeżyciem — czynię to właśnie wskutek podziwu dla człowieka, który potrafił w mym umyśle wywołać obrazy, z którymi w 25 lat później zaznajomiłem się „osobiście" i które powróciły mi tak już odległe, rumiane lata dzieciństwa.

Opowiadanie bez tytułu i wycieczka do opuszczonych, mozolnie wykuwanych na przestrzeni stuleci przez pokolenia całe -- sztolni — złączyły się nierozerwalnie w dziwny splot ułudy i realnej prawdy, która doprawdy nie pozwala mi dziś rozdzielić tych, w różnych okresach mego życia przeżytych uczuć, dreszczów wzruszenia, ,entuzjazmu i podziwu.

Mniej więcej w połowie kwietnia wyjechałem na Górny Śląsk, aby zbliska podziwiać jego potęgę. Wiedziałem, udając się w moją krótką podróż, że czekają mnie wielkie przeżycia i emocjonujące widoki, dla których trzeba będzie szukać nowoczesnych określeń i słów twardych, dorównujących potędze XX wieku, który na tej ziemi zakwitł najnowocześniejszemi dziełami. Zdawało mi się — wtedy przed paru miesiącami — że odnajdę nowoczesną ziemię, która musiała zapomnieć o swej historji, aby iść naprzód.

W programie wycieczki ostatnim punktem było: „zwiedzenie kopalni w Tarnowskich Górach". Oglądane od samego rana huty, wielkie piece, potęga walcowni, miljonowe inwestycje prywatne i samorządowe, przepych wyniosłej stali związanej genjuszem ludzkim na olbrzymich wysokościach — zmęczyły oczy i gasiły stopniowo możność zachwycania się.

Ziemia Śląska w parę godzin zmieniła się w mem pojęciu — w krainę czarnych olbrzymów, pracujących całym wysiłkiem swych stalowych mięśni, olbrzymów, które wykluczyły wszelki romantyzm, sielankowe piękno, zielone pejzaże i pamiątki czegoś co było... Ta ziemia, którą oglądałem z takim pośpiechem — wydała się napozór tak przerobioną w sensie nowoczesności, że kontrasty nie miałyby racji bytu.

Kiedy po obiedzie, który miał być odpoczynkiem po wędrówce wszerz rzek płynnego żelaza i ognistych dymów hut — wsiedliśmy do autobusu — zapowiedź widoków zielonego Śląska i niespodzianek tarnogórskich wcale nie podziałała na mnie podniecająco. Nie przypuszczałem jednak wtedy, że czeka mnie widok zgoła niecodzienny, jedyny w swym rodzaju, owiany romantyczną atmosferą przeszłości, zapomnienia i opuszczenia. Widoków tych przysporzyło obejrzenie „kopalni wody" w szybie „Staszica"...

Wśród wściekłego wichru i tnącego igłami sypiącego się z wiosennego nieba lodu — autobus torował sobie drogę do najdziwniejszej krainy, do olbrzymiego kretowiska, do ziemi skopanej rękoma tysięcy twardych górników pracujących tam od stuleci.

Najpierw wyniosły widok z pod starego kościółka na rozległe tereny kopalniane, potem wąskiemi drogami zjazd nad samą prawie granicę ku zabudowaniom wodociągowym i szybowi „Staszica" — znaczącym się niską, przysadzistą wieżą.

Wnętrze tej wieży zamyka w sobie urządzenia starej, zbyt silnie skonstruowanej windy parowej, która obsługuje 50-metrowej głębokości szyb.

Lekki wstrząs, szczęk stawideł, dzwonki i syk pary zwiastuje początek zjazdu. Klatka windy — zbudowana z gęstych krat — jakby tu pracowali galernicy — opada wolno w dół. Po drodze migają światełka żarówek, uderza gorący dech przewodów parowych, klekocą kraty... Wreszcie winda zwalnia biegu i przystaje. Jacyś ludzie otwierają kratę i barjery.

— Oto proszę państwa pierwszy poziom — 50 metrów pod powierzchnią ziemi...

Wysoka, o płaskim stropie hala, przejścia, korytarze, schody, szum wody, pulsowanie pracujących maszyn. Tu stoją zespoły pomp tłoczące pyszną, kryształowo czystą wodę, toczącą swe nurty odwiecznemi sztolniami — do rur i zbiorników zaopatrujących Śląsk w wodę do picia i dla celów przemysłowych.

Obok znajdująca się hala — mieści częściowo już zdemontowane szkielety maszyn. Bezużyteczne stalowe ramiona, zdruzgotane koła na łom, pokryte smarami części umarłych organizmów czekają, by je stąd wytransportowano. Ta podziemna hala, skąpo oświetlona, o wielu zakamarkach mrocznych zdaje się kryć tajemnice dawnych, dawno przebrzmiałych celów, wysiłków i poczynań. Bezużyteczne ciemne korytarze zabito deskami. Gdzieś z boku schody prowadzą do przecięcia dwóch kanałów, gdzie szumi mały wodospad. Czarna w mrokach woda szeleści tajemniczo, szumi nurtem — uchodząc w ciemne korytarze.

Za pierwszą salą maszyn — mieszczą się warsztaty i wejście do kutej w skale sztolni o drewnianej podłodze, pod którą płynie podziemna rzeka. Dalej, za żelaznemi pancernemi drzwiami, które prowadzą do pomp ustawionych na niższym o 25 metrów poziomie — podłoga zamienia się w wąską kładkę, biegnącą nad strumieniem. Wreszcie i kładka urywa się. Poza drewnianą kratą czeka barka, którą można odbywać przejażdżki po krainie zagubionych wód.

Stacja pomp na niższym poziomie połączona jest ze światem wykutą w kamieniu schodnią i szybem bez windy, służącym do transportu maszyn.

Wysoka sala zapełniona maszynami pulsuje rytmem ich pracy. Z gładkich, zimnych ścian toczy się strumykami woda.

— Gdyby, proszę pana — mówi maszynista — pompy przestały działać — w parę godzin wszystko to zalałaby woda. Maszyny muszą pracować bez przerwy...

Jest tam cicho i groźnie. W nikłym stuko-

cie tłoków wyczuwa się walkę z żywiołem o tę komorę. Od lat bezzmiennie opada ze ścian i szczelin woda i bezzmiennie klekocą pompy wśród słabego syku pary...

Obmokłymi schodami wydostaję się na pierwszy poziom, idę kładką ku drewnianej furtce i wsiadam do łodzi. Nasza barka żegluje w kręgu acetylenowego światła po czarnym strumieniu. Wciąż naprzód, monotonnie, wśród wilgotnych, biało błyszczących ścian, pokrytych minjaturowemi stalaktykami. Ta wodna wędrówka nie nastręcza rozmaitości widoków. Ale czyni człowieka wyczekującym, czającym się, by nie zostać zaskoczonym przez „niewiadome".

Podziemne sztolnie w Tarnowskich Górach liczą 20 kilometrów długości. Gdy się obejmie myślą te ogromne przestrzenie, ogarnia człowieka lęk przed czarnymi labiryntami i podziw dla dzieła rąk ludzkich, które dokonały tego cudu.

Nasza łódź podąża w czarną czeluść kanału-sztolni. Zwolna doznaję uczucia, że zostałem usidlany w poznaną kiedyś, w latach dziecinnych — przygodę. Dawno uśpione w wyobraźni straszydła odżywają w podziemiach tarnogórskich. Wydaje mi się, że to ja powinienem prowadzić łódź i żeglować po tych kanałach. Bo przecież ja tu już byłem kiedyś... Wiernie te same sztolnie bez świateł, te same lodowate podmuchy, które chcą zgasić płomień lampy, te same znane jeziora „bez dna", wodospady i ziejące straszności studnie.

Gdzież są ludzie, ci robotnicy ze stacji pomp. Ach — to wszystko było tylko złudą. Nieprawdą były światła elektryczne i syk pary. Wkoło panuje głucha cisza. Czasem z bocznego przejścia doleci gdakanie... Czy to woda? A może?... Szybciej popychajmy naszą łódź, może uda nam się uciec przed „duchem gór". Uważnie obok tego wodospadu! — bo tam niebezpieczne wiry, które pochłoną naszą łódź...

Wielki pisarzu — czemuż w latach młodego sceptycyzmu przestałem ci ufać, jak w latach dzieciństwa? Gdybym wierzył ci, że gdzieś na świecie istnieje to, o czemś opowiedział — byłbym ostrożniejszy. Może by mi wtedy zabrakło odwagi na to niebezpieczne żeglowanie po opuszczonych, zatopionych sztolniach...

* * *

Górnictwo kruszcowe koło Tarnowskich Gór — sięga czasów niepamiętnych. Pierwszy okres historyczny tego górnictwa — to czas, w którym Piastowie eksploatowali łatwo dostępne minerały z Ziemi bytomskiej. Drugi okres przypada na czasy nowsze, kiedy w wieku XVI górnictwo tarnogórskie osiągnęło szczyty swego rozwoju. Trzeci wreszcie okres — to przełom, kiedy człowiek zaprzągł do swej pomocy nowoczesną maszynę parową i wszystkie ulepszenia techniczne.

Warto wspomnieć, że w Tarnowskich Górach po raz pierwszy na kontynencie górnictwo i hutnictwo zastosowało „maszyny ogniowe", sprowadzane początkowo z Anglji.

Największym wrogiem wszelkich prac górniczych w Tarnowskich Górach — była woda. Z żywiołem tym od wieków walczył człowiek i jego genjusz. Ciekawem jest, że maszyna nie rozwiązała na tym terenie wspomnianego problemu. Wodę zwyciężyły mięśnie ludzkie, które wykuły wielokilometrowej długości sztolnie odwadniające, które ostatecznie umożliwiły należytą eksploatację złóż kruszcowych w Tarnowskich Górach. Konne odwadniarki i potem maszyny parowe okazały się zbędnemi.

Przeprowadzenie sztolni jest dziełem tak wielkiem, że do dziś stanowi ono wyczyn wręcz zdumiewający. Olbrzymie wysiłki dawnych polskich górników górnośląskich stworzyły bezsprzecznie pomnik swej pracy o niecodziennych rozmiarach. Nie licząc bowiem zagmatwanej i bardzo rozległej sieci różnych chodników, komór, olbrzymich hal, powstałych po odbudowie kruszcu, kraterów, szybów i wodospadów — długość sztolni żeglownych wynosi ponad 20 kilometrów! Pod Tarnowskiemi Górami, bez przesady to rzec można, znajduje się drugie wielkie miasto, pogrążone w cieniach wielkiej nocy, miasto dawno opuszczone — do dziś jednak spełniające ważne zadanie odwadniania szeregu terenów kopalnianych w okolicy.



...tu stoją zespoły pomp...
Rys. A. Żmuda

Żegluga podziemna, to wyjątkowy wypadek w górnictwie. Sztolniami spławnemi wożono w dawnych czasach urobek w łodziach z kopalń sąsiednich do szybów. Do pracy tej używani byli chłopcy i słabsi robotnicy, nie mogący walczyć z twardą skałą.

Jedną z najstarszych sztolni jest sztolnia „Daniela" pod Reptami. Gwarectwo jej zgłosiło w roku 1547 — 4 szyby na polach repeckich. Dalej następuje sztolnia „Św. Jakóba", której budowę rozpoczął gwarek z Tarnowskich Gór w roku 1563, nazwiskiem Jakób Rap. Gwarek ten w niedługim czasie utworzył gwarectwo, którego umowę wciągnięto w księgi hipoteczne. Warunki umowy brzmiały:

1) Udziały sztolni są podzielone na 32 części i to wieczyście.

2) Gwarectwo jest zobowiązane do wynagradzania szkód, może jednak korzystać z wszystkich urządzeń i prowadzić odbudowę w obrębie swoich kunsztów wodnych i sztolni.

3) Gwarkom wolno sprzedawać swe udziały lub je zastawić uczciwym chrześcijanom, albo pozwolić na używanie.

4) W razie śmierci gwarka, udział przypada spadkobiercy, lub wskazanemu testamentem.

5) Każdy gwarek jest obowiązany trzymać się tego, co większość gwarków postanawia.

6) Ma się przestrzegać chrześcijańskiego porządku, prawa górniczego oraz ustaw, aby się komu jaka krzywda nie stała.

Dziś zapadliska, pasma zwałów, oraz wielka ilość hałd pozwala oznaczyć kierunek starej sztolni i zdać sobie sprawę, jak potężne było to dawne przedsięwzięcie.

Trzecia sztolnia „Daru Bożego" znajdowała się pod Sowicami. Sztolnia „Krakowska", której budowę rozpoczęli gwarkowie krakowscy i olkuscy, zatwierdzona została w roku 1568. Piątą zkolei sztolnię „W imię Pańskie Obiecaną" — zgłosił Marcin Wojtek w roku 1567. Gwarectwo jej w roku 1568 zgłosiło 32 szyby w tarnowskim lesie dębowym. Gdzie las ten się znajdował, jakie były koleje sztolni i kiedy skończono w niej pracę — nie wiadomo, a wszelkie ślady po niej zaginęły.

Następnie znane są jeszcze sztolnie „Bożej Pomocy" pod Sowicami, „Św. Jerzego" pod Bytomiem, „Nowa Sztolnia Bytomska", „Sztolnia Pomaga Bóg", której pomiarów dokonano w roku 1652, wreszcie sztolnia „Tarnogórska".

Podczas wzmożonego ruchu kopalnianego, od roku 1784 począwszy, górnictwo tarnogórskie natrafiło na szczególnie wielkie przeszkody w postaci wód zaskórnych, utrudniających, lub wręcz uniemożliwiających pracę. W roku 1785 zainstalowano na szybie „Kunszt" pierwszą odwadniarkę konną. Koszty budowy tej machiny były ogromne, nieustanna zaś jej praca wymagała wysiłku 120 koni! Można sobie łatwo wyobrazić, jak kosztowne było to urządzenie. Nadomiar złego urządzenie nie sprostało zadaniu i nie usuwało wody w należytem tempie. W tym czasie postanowiono też sprowadzić z Anglji pierwszą, 32-calową maszynę parową.

Tak więc w roku 1787 w Tarnowskich Górach stanęła do pracy pierwsza na kontynencie maszyna „ogniowa". Sprowadzenie maszyny znaczy przełom w górnictwie tarnogórskiem i rozpoczyna czasy najnowsze. Którąś z rzędu maszynę parową zbudowano w parę lat w całości już na Górnym Śląsku w Ozimku pod osobistem kierownictwem Anglika, nazwiskiem John Baildon, który na ziemiach tych pozostał już na stałe.

Tarnowskie Góry z tego okresu swego rozwoju górniczego przedstawiały widok porywający. Oczy świata ówczesnego skierowane były na te okolice, gdzie niewiadomo było, co bardziej podziwiać: podziemia, czy pracujące na powierzchni ziemi, tajemnicze maszyny parowe, zionące ogniem i parą. Ze wszystkich stron ciągnęli książęta, mężowie stanu, ludzie pracy i nauki, by oglądać twory ręki i mózgu człowieka.

* * *

Dziś Tarnowskie Góry ucichły. Nie spowijają ich już dymy pracujących maszyn. Kopalnie zostały wyczerpane. Zryte pola i hałdy porasta trawa i mizerne zboża. Ludzie odeszli stąd dalej, by wydzierać ziemi inne bogactwa.

Na terenie starych sztolni wznosi się dziś jeden tylko czynny szyb, prowadzący do podziemnych galeryj. Jest to szyb niezwykłej i bardzo potrzebnej kopalni... wody!

50 metrów pod poziomem zielonych pól pracują cicho, uparcie, bez przerwy pompy czerpiące bogactwo kryształowej wody z prastarych sztolni gwarków krakowskich, olkuskich i tarnogórskich, by rozdzielić ją licznym osiedlom śląskim.

* * *

Opuściłem sztolnię tą samą poczciwą, starą windą. Nad głową zajaśniał znowu dzień kołyszący w górze zielenią drzew. Szum ich zdawał się opowiadać o wielkiej przeszłości tej ziemi.

Minąłem zabudowania wodociągów i zdala jeszcze słyszałem stukot pary w rurze wylotowej — dający znać, że winda pracuje, tworząc pomost między tym nieomal zaginionym światem podziemi — a światem dzisiejszym, który niestety tak mało wie o urokach tarnogórskich sztolni.

Autobus ruszył. Niebo pod wieczór wypogodziło się i wiatr ustał. Minęliśmy pełne nierówności pola, podziurawione kiedyś przez górników i jeszcze nie zagojone, poczem wdrapaliśmy się na wzgórze — skąd po raz ostatni ujrzałem szyb „Staszica" — bramę do przedziwnego kraju Juljusza Verne'a z mego dzieciństwa.

J. M. Brzeski

SŁOWO = CZYN

TEATR LEOPOLDA POBÓG-KIELANOWSKIEGO

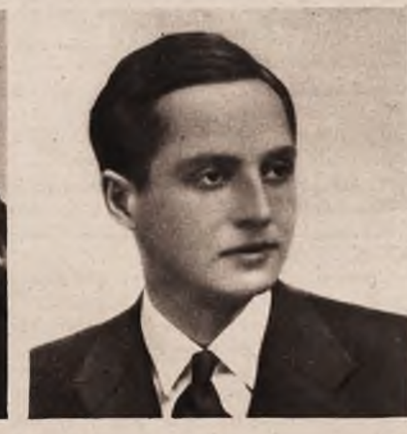




W kole: Antoni Żuliński, kompozytor krakowski i autor ilustracyj muzycznych do „Kopernika", — „Wyzwolenia" i in., bliski współpracownik L. Kielanowskiego.

Powyżej: Scena zbiorowa z „Kopernika" w inscenizacji Leopolda Pobóg-Kielanowskiego.





Na prawo: Znany artysta i reżyser L. Pobóg-Kielanowski w roli Kopernika i po „cywilnemu". Fot. „Van Dyk" — Lwów.

Dr Leopold Pobóg-Kielanowski, pod którego kierownictwem teatr miejski na Pohulance w Wilnie rozpoczął nowy, niezawodnie piękny i twórczy okres swej kulturalnej działalności — zdobył rozgłos przedewszystkiem jako odtwórca tytułowej roli w widowisku L. H. Morstina „Mikołaj Kopernik". Grał tę rolę przed kilku laty w Toruniu, później parokrotnie w Krakowie na dziedzińcu Bibljoteki Jagiellońskiej, jeździł z tą kreacją w otoczeniu zespołu krakowskiej młodzieży akademickiej po krajach Europy, wreszcie przed dwoma laty, wraz z dyr Karolem Fryczem, zmontował świetne widowisko ze sztuki Morstina na arkadowym dziedzińcu Wawelu.

Kielanowskiemu też przedewszystkiem zawdzięcza Morstin sukces artystyczny i propagandowy swego utworu. Kielanowski — jako reżyser — kształtował wyraz sceniczny morstinowego „Kopernika", dostosowując tekst utworu i jego walory do możliwości i zadań przedstawień. Szczytowem osiągnięciem artystycznem było widowisko na Wawelu, zarazem znakomity sprawdzian reżyserskich umiejętności Kielanowskiego i jego dążeń do budowania monumentalnego stylu w teatrze polskim, stylu, który nie jest celem samym dla siebie, ale którego zadaniem jest uwypuklenie myśli autora, podkreślenie piękna i uwagi słowa odpowiednią ekspresją sceniczną.

Kielanowski, który do teatru przyszedł po sumiennych studjach wyższych (jest doktorem polonistyki), literackich i teatralnych, żywi głęboki kult dla słowa, które nie jest frazesem, ale ma pokrycie w czynie, jest wyznawcą t e a t r u ż y w e g o, będącego odzwierciedleniem wewnętrznych przemian człowieka i posiadającego przekonywującą siłę pobudzania słuchaczy i widzów do działania. Dlatego Kielanowski opiera swoją pracę w teatrze, zarówno na wielkim repertuarze, na twórczości naszych wieszczów, a zwłaszcza na dziełach Wyspiańskiego, jak i zwraca uwagę na współczesny, nowy repertuar, odkrywając społeczne i artystyczne wartości utworów „na oko" niepozornych, żeby tylko wspomnieć opowieści sceniczne robotnika Jana Brzozy, którego — jak stwierdził Kielanowski — „pełne żaru przekonania słowo nabiera często wagi s ł o w a - c z y n u".

Bohaterem utworu Morstina o Koperniku jest myśl genjalnego uczonego: m y ś l - p r a w d a, za którą idzie słowo-czyn. — Poszczególne obrazy widowiska, na tle życia Kopernika i budzącego się Odrodzenia,



Jedna z najefektowniejszych scen „Kopernika", odegranego na dziedzińcu wawelskim.

przedstawiają narodziny tej myśli i walkę o jej zwycięstwo. To właśnie niezwykle pięknie i głęboko podkreśliła reżyserja Kielanowskiego, plastyczną grą licznego zespołu i solistów, narzucająca widzom potężną wizję wyzwolin człowieka z mroków średniowiecza. Będąc także świetnym reżyserem-pedagogiem, kreacją Mikołaja Kopernika dał wzór szlachetnej i czystej, naprawdę prostej a jednak monumentalnej gry aktorskiej.

Kielanowski, jak już wspomnieliśmy, wyznawca teatru żywego, a więc silnie związanego z współczesnością, lecz opartego także na dziełach dnia wczorajszego, tak „podchodzi" do arcydzieł naszej literatury dramatycznej, że odkrywa w nich momenty i wskazania bliskie dzisiejszej rzeczywistości, pogłębiając w ten sposób nasz stosunek do patronów naszego wyzwolenia (w znaczeniu ogólnoludzkiem i narodowem).

Przykład tego najwymowniejszy i — powiedźmy odrazu — piękny i podniosły, mieliśmy przed trzema laty, gdy teatr katowicki wystawił „Dziady" Mickiewicza w inscenizacji Pobóg-Kielanowskiego. „Z „Dziadów" ponurych — notował krytyk dr Papée — usiłował Kielanowski zrobić „Dziady" radosne, podniosły hymn wolnego człowieka. Dojrzał w poemacie urastanie wewnętrzne bohatera w etapach Gustaw — Konrad — ksiądz Piotr, przebywanie drogi zdobywania prawdziwej wolności. Gustaw to człowiek, żyjący dla siebie, Konrad to pokonywanie samego siebie, a ksiądz Piotr to już człowiek wyzwolony, naprawdę wolny. Misterjum miało więc być odą na cześć mocy twórczej ducha ludzkiego".

Nie możemy tu opisywać inscenizacji Kielanowskiego, po pracach Wyspiańskiego, Wysockiej, Trzcińskiego i Schillera najciekawszej, najbardziej twórczej, ale na dwa jej momenty trzeba zwrócić uwagę. W obrazie „Więzienia" reżyser wydobył z tekstu bunt młodzieży wileńskiej i jej gotowość do ofiar, łagodząc akcenty przygnębienia i beznadziejności. Więźniów zwoływał Konrad słowami „Ody do młodości", radośnie, jak zapowiedź bliskiego wyzwolenia brzmiała piosenka Feliksa: „Nie dbam jaka spadnie kara..", a pieśń zemsty Konrada była jak zew do buntu; podobnie wielka Improwizacja Konrada (którego grał Stefan Czajkowski), miała tony bohaterskiej „pieśni szczęśliwej". Bardzo pomysłowe było też zakończenie poematu dramatycznego. Kiedy po balu u Senatora i nagłym zgonie Doktora, Konrad, prowadzony na wygnanie, minął ks. Piotra, ksiądz jasnowidz pozostał na mrocznej scenie sam, a reżyser kazał mu mówić mickiewiczowskie słowa z ustępu „Oleszkiewicz":

„Słyszę! Tam!... Wichry... już wytknęły głowy
Z polarnych lodów, jak morskie straszydła...
Już sobie z chmury porobili skrzydła.
Wsiedli na falę, zdjęli jej okowy....
Słyszę... Już morska otchłań rozchełznana
Wierzga i gryzie lodowe wędzidła —
Już mokrą szyję pod obłoki wzdyma.
Już!... jeszcze jeden, jeden łańcuch trzyma —
Wkrótce rozkują... słyszę młotów kucie".

Strofie tej najpierw wtórowały gromy, później odgłosy wojny z motywami hymnów państw zaborczych, które zwyciężyła

melodja „Jeszcze Polska nie zginęła"…. Gdy zabrzmiał ten radosny hymn, panujący nad sceną orzeł dwugłowy runął w mrok, a przez carskie wrota wdarło się na scenę „zbawienia słońce", radosne słońce wolności.

Tak oto spojrzał na „Dziady" oczyma wolnego człowieka dr Kielanowski, w ten sposób z poematu o martyrologji polskiej stworzył dla Polaków pieśń o przemianach człowieka, wiodących do zwycięstwa.

Wystawione przez Kielanowskiego w roku 1936 w teatrze katowickim „Wyzwolenie" Wyspiańskiego miało w oryginalnej inscenizacji charakter zarówno misterjum mówiącego o posłannictwie narodu polskiego, jak i dawało wizję przemian duchowych człowieka, dążącego do realnej pracy. „Wyzwoleniem" we własnej inscenizacji rozpoczyna Kielanowski działalność dyrektorską w Wilnie, gdzie będzie, jak zapowiedział, kultywować polską twórczość dramatyczną i teatr żywy wielkiej poezji i wielkich czynów. W słowo Kielanowskiego słowo, które ma zawsze pokrycie w czynie — można wierzyć i tem radośniej witać go na stanowisku kierownika teatru, że mimo młodych lat jest wszechstronnie utalentowanym, o wielkiej wiedzy i kulturze, o wybitnych zdolnościach organizacyjnych i wychowawczych — człowiekiem teatru. Nawet najbar-



„Dziady" Mickiewicza w inscenizacji L. Kielanowskiego: Scena przed kaplicą (Z. Barwińska jako Maryla, Stefan Czajkowski jako Gustaw. Fot. Cz. Datka — Katowice.

dziej surowi krytycy jego działalność witali zawsze z uznaniem, a jeśli mieli zastrzeżenia, to mało istotne.

Ostatniem znamienitem osiągnięciem artystycznem Kielanowskiego, przed objęciem dyrektury teatru w Wilnie, było jego opracowanie sceniczne fragmentów dramatu Wyspiańskiego „Zygmunt August" na scenie teatru katowickiego. Ten czyn teatralny Kielanowskiego, to jakby jego duchowe zaślubiny z Wileńszczyzną, zanim go z nią związał kontrakt cywilny.

Pięknie pisał o dziele Wyspiańskiego Morstin: „Zygmunt August" jest według sądów niektórych krytyków najdojrzalszym z dramatów poety. Trzeba dodać najbardziej filozoficznie przemyślanym, bo, pisany przez artystę chorego i pozbawionego sił fizycznych, jest szkicem dramatycznym. Poszczególne sceny są niewykończone, ściślej mówiąc to co nam zostało, to są zakończenia scen. A mimo to idea dramatu jest przeprowadzona logicznie. Jest nią sublimacja miłości do kobiety na miłość do ojczyzny w bohaterze dramatu. Przemiana Gustawa w Konrada dokonywa się w naszych oczach zgodnie z tradycją wielkiej poezji romantycznej. Augustus obiit, natus est serenissumus rex Poloniae et Lithuaniae, który dwa narody umiał w jedno państwo złączyć na wieczyste wspólne życie"…

Inscenizacja Kielanowskiego, kładąc nacisk na czar poetyckiego słowa, podkreślając piękno i ideę dramatu wysoce artystyczną ilustracją muzyczną A. Żulińskiego, przedewszystkiem uwypukliła myśl dramatu — walkę woli człowieka ze złem i przemianę wewnętrzną bohatera w dramat smutku, wplatając akcenty wiary, że w potomności Zmartwychwstanie".

s. w. bal.

PRZYGODA W HOTELU

✦

H. ALAD

NOWELA

Jerzy Dugin podał mi z uśmiechem fotografję młodej, uroczej kobiety.

— Oto moja żona. Jeżeli zdarzy ci się kiedyś, że popadniesz w kolizję z prawem, unikaj jej jak ognia…

— ????

— Ale prawda, nie wiesz wcale, jak poznaliśmy się ze sobą? Nikomu nie mówiłem o tem jeszcze, ani nie wygłaszałem tego rodzaju przestróg, jak przed chwilą. Skoro jesteś moim przyjacielem — należy ci się nieco informacyj.

Rozmowę prowadziliśmy w wytwornie urządzonym gabinecie Jerzego.

Przyjechałem do Londynu jedynie, aby się z nim zobaczyć. Miałem zamiar uczynić to dużo wcześniej, ale obowiązki zawodowe stale stawały mi na przeszkodzie. Jednakże wiadomość o ślubie zawartym przed tygodniem przez mego przyjaciela odsunęła wszystko inne na dalszy plan i…

— Żona wróci dopiero jutro wieczorem. Jestem trochę niespokojny z tego powodu. Ale mniejsza z tem… Zacznę od początku. Przypominasz sobie, że otrzymałem rok temu przyzwoity spadek po pewnym przyzwoitym wuju, który rozstając się z tym padołem płaczu przypomniał sobie o mojem istnieniu. Oczywiście urządziłem się odrazu tutaj, mam bardzo wygodne atelier, a co najzabawniejsze — moje obrazy i portrety zaczęły się nagle ogólnie podobać. Nastąpiło to z chwilą, kiedy mogłem sobie pozwolić na bywanie u różnych ludzi, do których nie miałem dotąd dostępu ze względu na biedę, w której byłem pogrążony po uszy. Wiedzie mi się całkiem dobrze, a nawet, o zgrozo, miewam czasami za wiele pieniędzy…

— Wiem coś o tem — przerwałem mu cierpko, — dlatego także przyjechałem. Czy sądziłeś rzeczywiście, że nie poznam twego charakteru pisma na przekazach pieniężnych, jakie otrzymywałem co pewien czas?

Jerzy zaczerwienił się po uszy. Usiłował się uśmiechnąć, ale udało mu się tylko wywołać jakiś dziwny grymas na rasowej twarzy. Był tak zażenowany i zawstydzony, że zrobiło mi się go żal, choć ja sam powinienem był raczej się wstydzić, że przyjmowałem od niego pieniądze.

— Nie mówmy o tem teraz — prosił nieledwie — odłóżmy to na kiedyś indziej, inaczej nie opowiem ci historji mego małżeństwa, a zapewniam cię, że warto posłuchać.

Próbowałem jeszcze protestować, ale wreszcie skapitulowałem, uzyskawszy zapewnienie, że więcej nie powtórzy swych wyczynów filantropijnych.

— Otóż tego lata — zaczął Jerzy — postanowiłem spędzić wakacje. jak każdy szanujący się snob. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się mieszkać w prawdziwie eleganckim hotelu, przeznaczonym tylko dla nielicznej garstki wybranych. Postanowiłem zakosztować tej rozkoszy. Zaopatrzyłem się w odpowiednią garderobę (ilościowo i jakościowo) i pewnego pięknego dnia rozbiłem swe namioty pod dachem jednego z najelegantszych hoteli w Deauville. Wygodnie mi tam było bardzo, towarzystwo miłe, wesołe, ale… nudziłem się mimo wszystko. Pamiętasz, jak wędrując pieszo po Francji, marzyliśmy o tych niedostępnych dla nas cudach, które stały się teraz moim udziałem? Będąc zaś w warunkach, o jakich niegdyś wolno mi było tylko marzyć — chętniebym wrócił do naszego koczowniczego trybu życia. Po upływie kilku dni nosiłem się z poważnym zamiarem spakowania rzeczy i ucieczki od tego wszystkiego. Jednakże bogactwo rozleniwia: z dnia na dzień odkładałem ten zamiar. Pewnego deszczowego popołudnia siedziałem sam w palarni hotelowej, czytając pisma. Nagle obok mnie ktoś roześmiał się wesoło, dźwięcznie. Jeszcze nigdy dotąd nie słyszałem tak pięknego, zdrowego śmiechu. Poderwałem się z fotela. Przede mną stała młoda, śliczna dziewczyna, zanosząca się od śmiechu. Spojrzałem na nią zdziwiony:

— Pan wybaczy — wykrztusiła wreszcie — musi być panu jednak trochę trudno czytać…

Spojrzała przytem wymownie na płachtę dziennika, który trzymałem w ręku.

Poszedłem za jej przykładem i musiałem roześmiać się również. Trzymałem bowiem gazetę do góry nogami… Widocznie zdrzemnąłem się w międzyczasie.. Przedstawiłem się jej i dowiedziałem, że nazywa się Ewa Turnbill, że nie widziała mnie jeszcze do tej pory, choć od dłuższego czasu mieszka w naszym hotelu, że znudziły się jej wszystkie rozrywki (jak i mnie zresztą), że chciałaby uciec stąd, ale… nie może.

Wyraziłem zdziwienie. Nie móc wyjechać z Deauville?

Spojrzała na mnie cokolwiek nieufnie, potem roześmiała się i objaśniła mnie, że musi czekać na swoją starą ciotkę, która ma w tych dniach przyjechać. Nie brzmiało to coprawda dla mnie zbyt przekonywująco, ale nie mogłem się dopytywać.

Czas minął nam tak szybko, że nie zauważyliśmy, jak zapadł zmierzch. Trzeba było przebrać się do obiadu.

Jednocześnie zaczęli napływać mieszkańcy hotelu. Zaciszna jeszcze przed chwilą sala ożywiła się i rozbrzmiała setką głosów.

Ewa w jednej chwili zmieniła się. Przestała się zupełnie interesować moją osobą. Przyglądała się natomiast pilnie zebranej publiczności. Jej spojrzenie stało się kłujące, przenikliwe. Spoważniała nagle i odpowiadała mi monosylabami.

W pewnej chwili zerwała się i skinąwszy mi niedbale głową, wmieszała się w tłum otaczający pewną Amerykankę, która już przedtem zwróciła moją uwagę nieprawdopodobną ilością klejnotów, któremi stale się obwieszała.

Siedziałem osłupiały. To chłodne, bezceremonjalne pożegnanie, nawet niegrzeczne, oszołomiło mnie. Nie byłem jednak obrażony, raczej szukałem winy po swej stronie. Może uraziłem ją niechcący jakiemś nieostrożnem słowem? Może popełniłem nieświadomie niewybaczalną gafę? Miłe, pierwsze wrażenie ulatywało bezpowrotnie. Tymczasem obiad dobiegał końca. Przygnębiony siedziałem jeszcze chwilę. Goście rozchodzili się pośpiesznie do swych pokoi. Ewa nie pokazała się więcej.

W pewnej chwili ujrzałem ową „diamentową" Amerykankę, jak zbiegła szybko ze schodów i wbiegła do biura zarządu hotelu. Przez oszklone drzwi widziałem jej żywą gestykulację. Pomyślałem sobie, że znowu uskarża się na rzekomo niedbałą usługę.

Ewa podobała mi się bardzo. Wszystko zdawało się wskazywać, że tak oryginalnie zawarta znajomość zostanie zamieniona w stałą przyjaźń, a tymczasem…

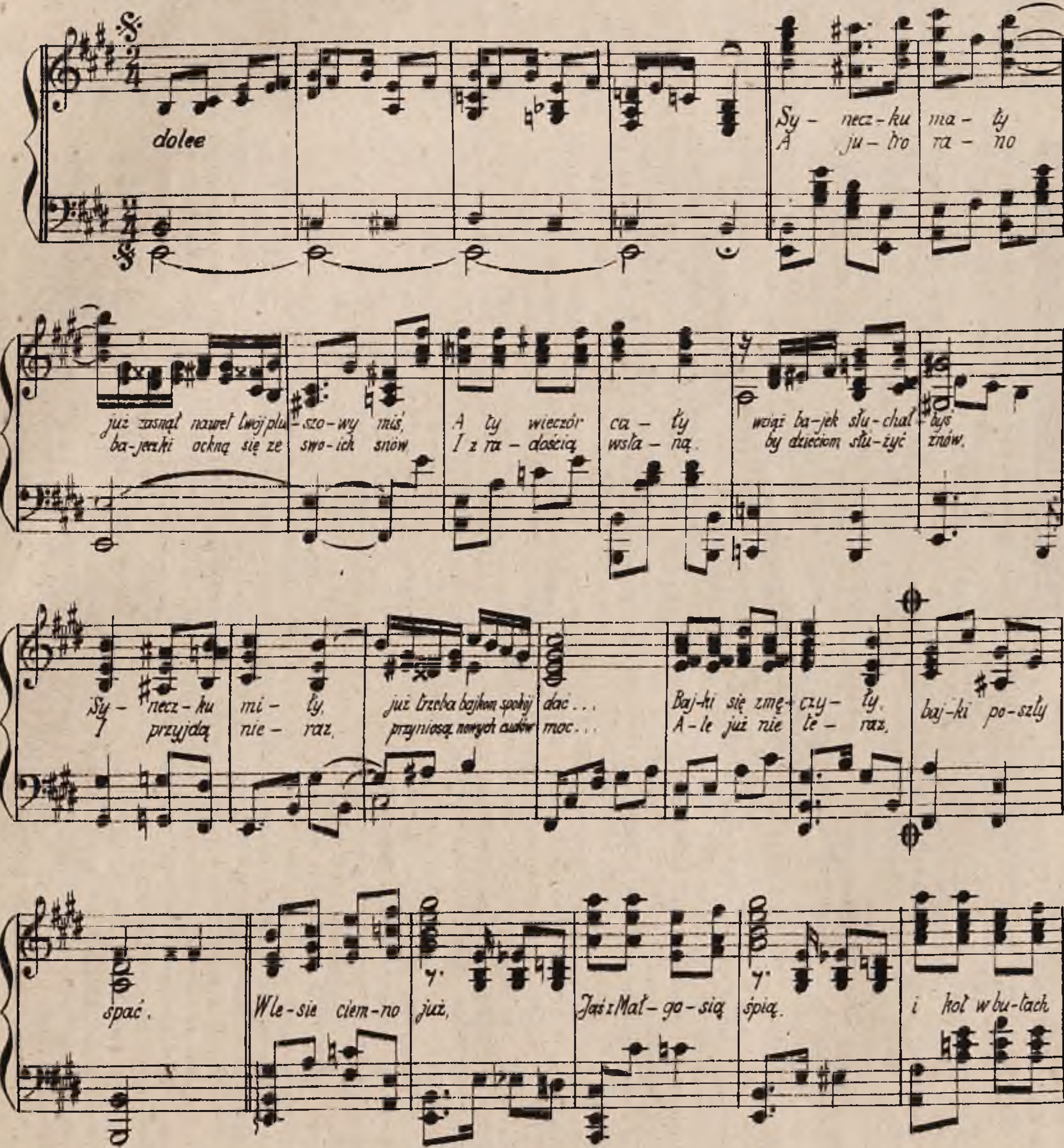
Ciąg dalszy na str. 23-ej.

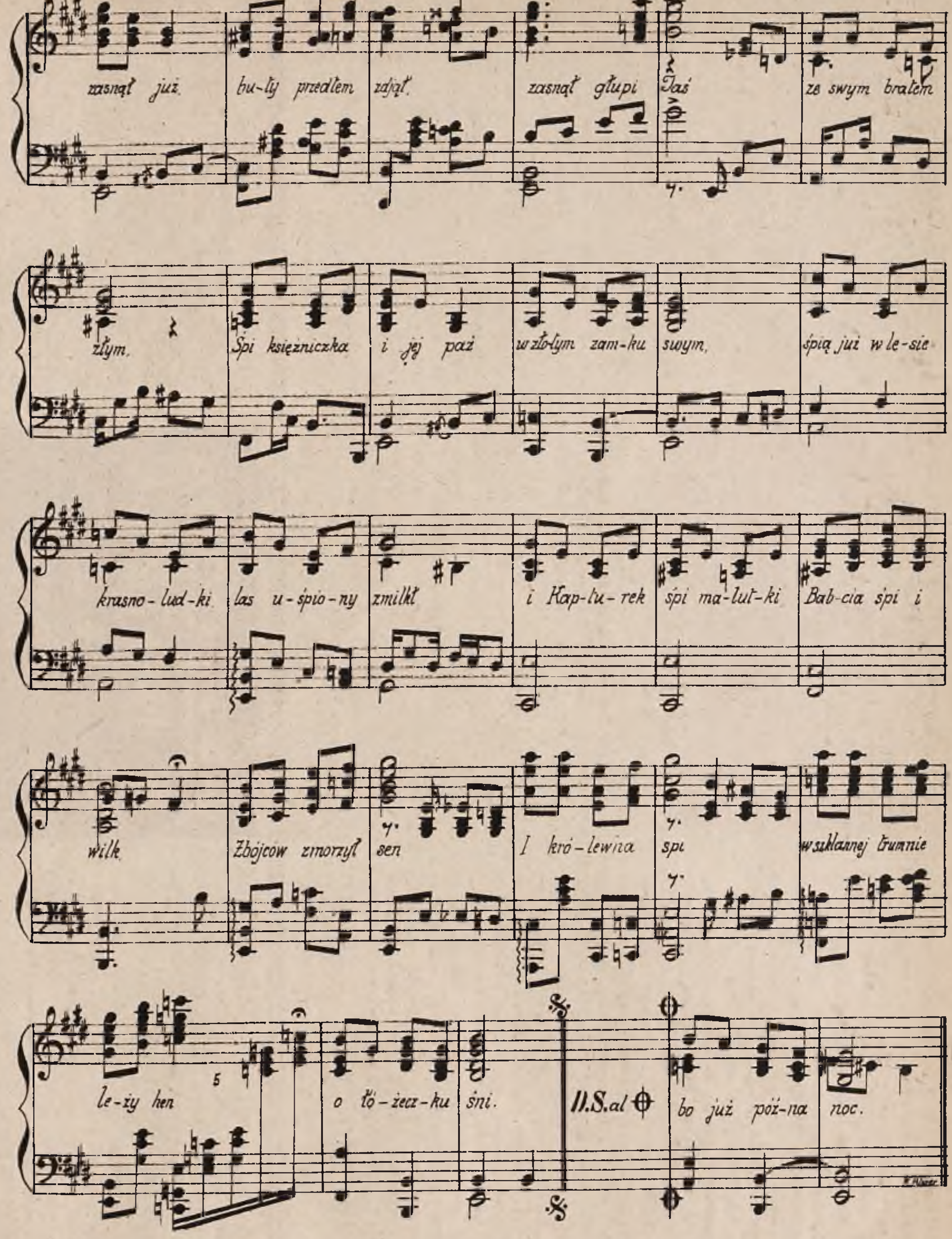
BAJECZKI ŚPIĄ...

TANGO-KOŁYSANKA

SŁOWA:
S. GRODZIEŃSKA

MUZYKA:
J. MARKOWSKI





Dokończenie ze str. 21-ej.

Służący, który przyniósł mi whisky, był młodym jeszcze człowiekiem:

— Cóż się stało, François — zagadnąłem go — skąd ta grobowa mina?

— Nic dziwnego, monsieur — odparł.

— A jednak coś się stało. O ile to możliwe, postaram się wam dopomóc...

— Mnie osobiście nic się nie stało, monsieur — uśmiech wdzięczności ukazał się na jego twarzy. — Ale w hotelu zdarzyło się coś — dodał tajemniczo. — Bardzo niemiła sprawa dla nas specjalnie. Zdradzę panu sekret.

— Otóż — nachylił się nade mną konspiracyjnie — pani Denill, tej Amerykance, co błyszczy jak wystawa jubilerska, skradziono bransoletkę. Przypuszcza, że w palarni przed pójściem na górę. Ta stara warjatka, pardon monsieur, pani Denill sama już nie wie, czego chce. Żąda teraz, aby zrewidowano pokoje służbowe...

— Bardzo wam wszystkim współczuję, François. Rzeczywiście powinno być zabronione wożenie takiej ilości biżuterji. Zawsze z tego wynikają jakieś nieprzyjemności.

— Wszyscy jesteśmy oburzeni — skarżył się — tem bardziej, że najprawdopodobniej stało się to w palarni przed obiadem...

— W palarni?... — powtórzyłem za nim mechanicznie. W... palarni...

Jak błyskawica przeszyła mi mózg pewna myśl. Ewa, jej zachowanie, jej zdenerwowanie z chwilą ukazania się tej Amerykanki, jej nagłe wmieszanie się w tłum...

— Ale monsieur nie powtórzy nikomu — nastawał tymczasem François. — Miałbym wiele przykrości...

Uspokoiłem go i wyprawiłem z pokoju. Pragnąłem być sam, aby przemyśleć sytuację. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Ewa Turnbill, względnie osoba podszywająca się pod to nazwisko, mogła być i była najprawdopodobniej sprawczynią kradzieży. Jej zachowanie wymownie świadczyło o jej winie.

Moim pierwszym odruchem była chęć udania się do zarządu hotelu, aby opowiedzieć o moich spostrzeżeniach, ale w porę przypomniałem sobie o danej obietnicy. Nie mogłem nadużyć zaufania poczciwego François.

Z drugiej strony było mi także żal Ewy. Była jeszcze taka młoda... Postanowiłem pomówić z nią i skłonić do oddania skradzionej bransoletki... Próbowałem nawet ułożyć sobie jakiś plan działania, ale to mi się nie udało. Postanowiłem pozostawić wszystko biegowi wypadków.

Obudziłem się następnego dnia z lekkim szumem w głowie. Ciążyły mi moje podejrzenia i to, że musiałem (przynajmniej narazie) milczeć, dopóki sprawa nie stanie się głośna. Czułem się poniekąd wspólnikiem kradzieży. Jednocześnie zaś byłem rad, że nie muszę jeszcze oskarżać Ewy.

Ranek spędziłem na plaży. Popołudniu usadowiłem się w palarni. Ale Ewa nie zjawiła się...

Wieczorem zapytałem François o wynik rewizji. Opowiedział mi, że naturalnie niczego nie znaleziono, że złodziejem musiał być ktoś z gości, bo to się często przecież zdarza w wielkich hotelach, gdzie szczególnie w sezonie nie brak niebieskich ptaków. Zresztą jest detektyw...

— Nie wiedziałem, że macie detektywa — wykrzyknąłem zdumiony.

— Eh, taki tam detektyw — machnął ręką z lekceważeniem. — Ale może coś znajdzie. Kto go tam wie. Dobranoc panu.

Minęły jeszcze dwa dni. Czułem się coraz gorzej. Sytuacja wydawała mi się beznadziejna. Byłem przybity, unikałem ludzi.

Wreszcie, następnego dnia, przechadzając się po parku hotelowym, ujrzałem przed sobą znajomą sylwetkę. Pogoniłem za nią. Była to rzeczywiście Ewa.

Na odgłos moich kroków odwróciła się i uśmiechnęła się do mnie wesoło. Ogarnęła mnie nagła złość na nią, na jej uśmiech, na cały świat. Mieć czelność uśmiechać się tak beztrosko i wesoło jak ona, z miną niewiniątka — to rzeczywiście wyrafinowanie pierwszego stopnia.

— Jeszcze pani tutaj? — zapytałem złośliwie.

Spojrzała na mnie, zdziwiona.

— Owszem, jeszcze! — rzuciła sucho.

Postanowiłem wyłożyć odrazu karty na stół.

— Może się stać tu zbyt gorąco dla pani... bezpieczniej byłoby wyjechać!

Udała wielkie zdziwienie.

— Nie rozumiem, o czem pan mówi?

— Niech no pani nie udaje, moja piękna panno! Widziałem dobrze pani zachowanie w palarni. Jest pani młoda i wykształcona. Może pani znaleźć odpowiedniejsze zajęcie, niż „bawienie się" w szczura hotelowego i...

— Co za moralizatorski ton — przerwała mi śmiejąc się swobodnie. — Więc pan twierdzi, że ja kogoś okradłam?

— Nie złapałem pani niestety za rękę — odpowiedziałem ponuro — ale pani zachowanie wtedy było dostatecznie wymowne. Gdy tylko weszła do palarni pani Denill, stała się pani innym człowiekiem, widziałem to dobrze...

— No i cóż, dlaczego nie doniósł pan o swych cennych spostrzeżeniach odpowiednim władzom? — pytała ironicznie.

— Bo... bo... nie mogłem. Zresztą chciałem przedtem pomówić z panią.

— A skąd pan wogóle wie o tej kradzieży, skoro nie udało się panu przychwycić mnie na gorącym uczynku — pytała zaciekawiona.

— Mniejsza z tem. Czy to pierwszy pani występ?

— Nno.. niezupełnie — ociągała się z odpowiedzią.

— Błagam cię, Ewo — ogarnęła mnie niespodzianie fala ciepła i wzruszenia, a także litości dla tej wykolejonej istoty, niech pani porzuci ten ohydny proceder. Pomogę pani, wystaram się o pracę dla pani... Chociażby u mnie — wykrzyknąłem z zapałem. — Może być pani moją sekretarką.

— Dziękuję — rzuciła sucho, — niestety nie nadaję się na „sekretarkę osobistą".

— Ależ Ewo — chwyciłem ją za rękę — nie miałem nic złego na myśli. Niech pani tylko odda bransoletkę, a ja zrobię wszystko... ja... ja... się ożenię z panią...

Parsknęła śmiechem. To mnie otrzeźwiło. Czyżbym rzeczywiście do tego stopnia stracił głowę, aby ofiarowywać małżeństwo nieznajomej dziewczynie, awanturnicy, złodziejce? Czułem, że jednak słowa, które mi mimowolnie się wyrwały, były szczere, że podświadomie życzyłem sobie tego, o czem myśleć nie chciałem. Kochałem ją od pierwszej chwili naszego poznania — do djabła!

— Wielki to zaszczyt dla mnie — kpiła tymczasem dziewczyna — nie wiem doprawdy, jak mam dziękować. Muszę mieć czas do namysłu. Mąż, czy bransoletka? To poważny problem do rozstrzygnięcia.

— Nie kpij ze mnie! Mówię poważnie!

Usiłowałem zajrzeć jej w oczy, ale ukrywała je pod przymkniętemi powiekami. W pewnym momencie udało mi się tylko ujrzeć, że źrenice jej są zamglone. Czy były to łzy?...

Zaległo długie milczenie...

— Pan jest bardzo dobry — szepnęła wreszcie — bardzo dobry, ale obawiam się, że pożałowałby pan jednak kiedyś swej nierozwagi...

— Nigdy! Oddaj natychmiast bransoletkę!

— Nie, ja muszę się doprawdy namyśleć...

— Oddaj, inaczej pójdę teraz i zawiadomię, kogo należy...

Ktoś nadchodził boczną aleją. Ewa patrzyła pilnie w tym kierunku właśnie.

— Nie mam teraz czasu — przerwała mi niespodzianie — wieczorem będę w palarni...

— Idę do zarządu — krzyknąłem. — Jej odmowa zbyt podrażniła moją ambicję. Byłem wściekły na nią, na cały świat, na siebie, na swoją głupotę, na to, że kochałem tę dziewczynę. Chciałem się zemścić na niej i na sobie...

Jerzy urwał i zamyślił się głęboko. Nie śmiałem odezwać się doń, chociaż byłem niezmiernie ciekaw dalszego ciągu opowiadania.

Podniósł wreszcie głowę, uśmiechnął się do mnie i kontynuował opowiadanie.

— Zaślepiony gniewem pobiegłem nad morze i tam przechadzałem się długo. Zapadający zmierzch przywołał mnie do rzeczywistości.

Nie powiem ci, co wówczas przeżyłem i przemyślałem. Niczego nie pamiętam. Wiem tylko, że byłem złamany.

Wreszcie dowlokłem się do hotelu i udałem się do zarządu.

— Jednak? — wyrwało mi się.

— Tak, wiem, że to było podłe, ale musiałem wtedy tak uczynić. W każdym z nas tkwi trochę szantażysty i dziecka jednocześnie. Nie dasz mi cukierka — poskarżę się!

Poprosiłem dyrektora o chwilę rozmowy. Byłem już zupełnie opanowany. Opowiedziałem mu krótko o mych spostrzeżeniach. — Słuchał mnie grzecznie, uśmiechając się ironicznie, czego jednak wówczas nie zauważyłem. Dziś dopiero, gdy przeżywam znowu tę scenę — uświadamiam to sobie.

— Kim jest ta dama, którą posądza pan o kradzież? — zapytał wreszcie.

— Miss Ewa Turnbill — zdołałem wykrztusić.

Spojrzał na mnie tak, jak się patrzy na kogoś niespełna rozumu i... nagle parsknął niepohamowanym śmiechem.

Przyglądałem się mu zdumiony. Ten, zwykle tak opanowany, taktowny człowiek, zachował się jak gbur. Co mogło spowodować jego wesołość.

Urażony, wstałem.

Widać, spostrzegł moje niezadowolenie, gdyż najwyższym wysiłkiem woli pohamował się, tylko mu jeszcze kąciki ust drgały od śmiechu.

— Pan mi wybaczy — tłumaczył się — ale to było tak nieoczekiwane... Ponieważ widzę, że jest pan poinformowany o wszystkiem, zdradzę panu jeszcze jedną małą tajemnicę. Panna Ewa Turnbill jest... otóż i ona sama...

Obróciłem się. W drzwiach stała uśmiechnięta Ewa.

— ... jest właśnie naszym detektywem, więc pańskie podejrzenia...

Możesz sobie wyobrazić moją mądrą minę w tym momencie — kończył opowiadanie Jerzy i roześmiał się wesoło.

KONIEC.

NA GRANICY LATA i ZIMY

kostjumy i płaszcze.

Powrót z wakacyj, to dla pięknej pani cały szereg przyjemnych emocyj: odnajduje się znajomych, zbiera komplementy na temat pięknie opalonej twarzy, żałując w duchu, że nie można pokazać jeszcze piękniej opalonej „reszty"... A przedewszystkiem zmienia się skórę. W dosłownem znaczeniu. Bo przeskok z shortów i hojnie dekoltowanych sukien plażowych w miejskie kostjumy i okrycia, jakie nam na nowy sezon przygotowała Pani Moda, to zmiana stroju naprawdę radykalna! Tam absolutna swoboda, nieskrępowanie, najśmielsze barwy, najfantastyczniejsze zestawienia, tu wytworna prostota, dystyngowane, stonowane kolory, rafinowanie linij i subtelne wykończenie szczegółów.

Ale że plażowe dekolty i monotonne nieco spędzanie całego dnia niemal w shortach i pidżamach już się nam nieco sprzykrzyło, z przyjemnością wracamy do „jarzma" miejskiego stroju, krępującego może naszą swobodę, ale zato dającego pole do większej odmiany i rozmaitości. Jakże przyjemnie będzie przechodzić od porannego, sportowego kostjumu, czy tweedowego płaszcza, podkreślającego tak wdzięcznie młodość i wysportowanie nowoczesnej pani, poprzez wytworną czerń popołudniowego kostjumu przybranego futrem — do strojnych, lśniących tęczą barw i połyskiem lam i pajetów wieczorowych tualet. W każdej z tych trzech zasadniczych dziedzin stroju kobiecego tegoroczna jesienna moda stworzyła takie mnóstwo odmian i typów, że każda kobieta ubraną być może indywidualnie, pozostając przytem w zgodzie z obowiązującymi kanonami.

W tej chwili, kiedy sezon towarzyski w wielkich miastach jeszcze się całkowicie nie rozpoczął, a pierwsze chłody jesieni nie pozwalają już nosić lekkich kostjumów i płaszczy, najważniejszym punktem mody są jesienne okrycia. Jeśli chodzi o kostjumy sportowe, mamy do dyspozycji obszerny wybór krat i pasów, grubo tkanych tweedów, puszystych a lekkich tkanin z sierści wielbłądziej, a wkońcu — skórę i zamsz. Kostjumy sportowe kombinuje się najczęściej z wełny gładkiej i wzorzystej, gładkie zaś przybiera się aplikacjami, guzikami i paskami ze skóry, barwnym szalikiem w szkocką kratę fantazyjnie pod szyją wiązanym, lub też krawatem z futra. Spódniczki do takich kostjumów pozostały wąskie i proste, długość ich nie powinna sięgać niżej, niż 33 do 35 cm, licząc od ziemi. Tak modne tego lata spódniczki fałdowane nie wypadają tak zgrabnie w grubszych, jesiennych materjałach. Dlatego zwolenniczki szerszych spódnic wolą poprzestać na lekkim kloszu, poszerza-





Dwa modele kostjumów popołudniowych, przybranych srebrnym lisem.

Na lewo: Czarny trzyćwierciowy płaszczyk, przybrany na ramionach i przy kieszeniach karakułami i w tym samym kolorze kostjum z bobrowymi mankietami.

jącym spódnicę ku dołowi przy pomocy kilku brytów.

Sportowe płaszcze na sezon przejściowy nosi się obecnie zupełnie proste, opadające pionową linją od lekko poszerzonych ramion. Zdobią je szerokie stębny, rozcięcia u dołu po obu bokach lub z tyłu, duże nakładane kieszenie i małe, wykładane kołnierze. Płaszcze o charakterze bardziej francuskim przybiera się chętnie futrem w postaci okrągłego, podwójnego kołnierza, lub też kolji z samych ogonków.

Ale największe zastosowanie znajdują przybrania z futer przy płaszczach i kostjumach popołudniowych, najczęściej czarnych. Raz będzie to puszysty kloszowy kołnierz z lisów srebrnych czy niebieskich, innym razem duże fantazyjne ranwersy, to znów szerokie mankiety z strzyżonych bobrów przy brązowym kostjumie w modnym obecnie odcieniu „corinthe", całe karczki szczelnie pod szyją zapięte z lśniących breitschwanzów, okalających również wąskim pasem kieszenie, lub wkońcu oryginalne aplikacje z astrachanu



Na prawo: Sportowy kostjum z beżowego home-spunu w subtelną brązową kratę (aplikacje ze skóry) — spodniczka ciemno-brązowa.

Poniżej: Sportowy płaszcz w szkocką kratę — sukienka z rudawego jersey'u.
Wszystkie zdjęcia: C. Anders — Paryż.



w formie liści, girland, płaskich kwiatów lub szerokich kokard. Obkłady futrzane zajmują nieraz tyle miejsca, że zapytujemy wkońcu, czy to futro przybrane wełnianą materją, czy też żakiet wełniany przybrany futrem? Na jesiennych pokazach modeli widziało się całe żakiety trzyćwierciowe z karakułów, w których jedynie rękawy i kieszenie uszyte były z czarnego sukienka lub zamszu, z którego również zrobiona była spódniczka. Całość taką uzupełniał wysoki tok zamszowy lub filcowy i płaska, szeroka torebka, kombinowana z zamszu i futra.

Do eleganckich, wizytowych kostjumów nosi się w tym roku chętnie szerokie przybrania z lisów u dołu trzyćwierciowego, kloszowego żakietu. Pozwolić sobie na to mogą jednak tylko kobiety bardzo wysokie i smukłe, gdyż takie przybranie poniżej linji bioder silnie skraca figurę.

Gdy już mowa o jesiennych kostjumach i płaszczach, nie sposób nie wspomnieć o przejściowych okryciach futrzanych. W tej bowiem dziedzinie najwięcej pojawiło się nowości. Obok breitschwanzów, karakułów i astrachanów, przyjęły się lansowane już w zeszłym roku przez Marlenę Dietrich żakiety z futer puszystych, jak oposy, lisy a nawet skunksy! Bez kołnierzy, szerokie i proste w kroju, okrycia te pogrubiają niewątpliwie, ale mają tę zaletę, że podkreślają tem więcej smukłość bioder i nóg. Trzeba się będzie przyzwyczaić do tych nieco eskimoskich sylwetek, gdyż ponoć w zimie będziemy nosić nawet całe płaszcze z takich długowłosych futer! Ale o tem następnym razem.

Oprócz szerokich pasków z kolorowego zamszu, które już w zeszłym sezonie zimowym noszono do płaszczy futrzanych, ostatnim krzykiem będzie ozdabianie ich — szerokiemi wstążkami. Nosi się je pod brodą lub wiąże się niem futro w pasie w piękne kokardy dwubarwne (np. czarne z czerwoną lub szmaragdową podszewką), w szkocką kratę, w różnobarwne pasy lub grochy. Wydaje się to na pierwszy rzut oka nieco ekscentryczne, ale gdyby moda unikała wszelkiej ekscentryczności, nie mogłaby co roku zaskakiwać nas coraz to nowymi pomysłami. A tego przecież od niej żądamy.

Lady Like.

ZROBIĘ TO SAMA!

★

Pullower o kimonowym kroju

Ścieg zasadniczy, którym wykonany jest pullower obok reprodukowany, jest następujący; rząd pierwszy: 1 oczko gładkie, 1 oczko nawywrót. Rząd drugi naodwrót.

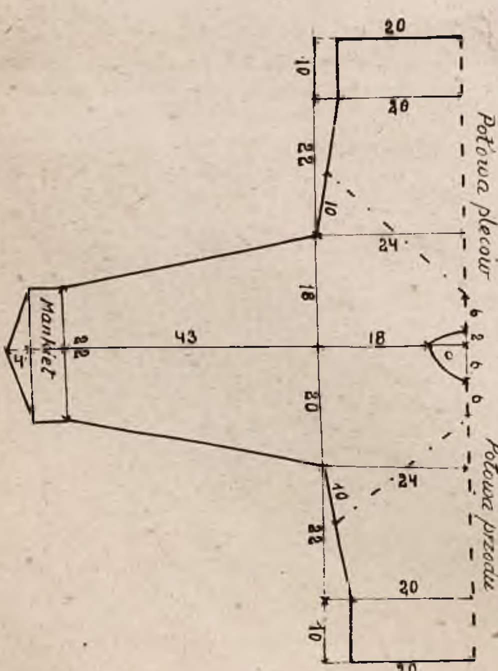
Według rysunku załączonego kroju, który należy odpowiednio do swej figury przystosować, należy wyrysować i wykroić sobie podwójnie, złożywszy papier, szablony.

Przed rozpoczęciem haczkowania należy przygotować sobie krój, którego połowę podajemy w reprodukcji. Podajemy jego wymiary, które zależnie do swej figury każda z pań poszerzy lub zwęzi. Podług tego kroju wykonuje się cały pullower podanym na początku ściegiem.

Charakterystyczną ozdobą tego pullowera jest linja karczku, zaznaczona na rysunku kroju ukośnemi linjami przerywanemi. W tem miejscu naszywa się sznurek, zrobiony z wełny użytej do pullowera. Wełną zaś ciemniejszą wykonujemy sznurek do przewleczenia pullowera powyżej linji karczka oraz dołem na obwodzie.



Model pullowera, którego opis wykonania podajemy obok.



Na lewo: Schemat kroju połowy pullowera z rękawem.

Trójkąty, które wykańczają wycięcie szyi, wykonuje się tym samym ściegiem, co cały pullower. Trzy z nich są w tej samej barwie, czwarty w tonie ciemniejszym. Na każdy trójkąt liczymy 10 cm szerokości i 12 cm długości. Przy średniej grubości wełny liczymy do wykonania 10 cm na szerokość czyli 30 oczek, a na wysokość 25 rządków, robionych w ten sposób, że na końcu każdego rzędu, ujmuje się jedno oczko aż do wykończenia szpica.

Do wykonania paska, który jest w ciemnym tonie, wykonuje się 16 oczek, a ścieg ten sam, co i do całego pullowera.



Próbka ściegu, którego użyjemy do wykonania pulloweru.

NOWOCZESNA KOSMETYKA

XVIII.

Masaż rąk

Mieux vaut prévenir que guérir (lepiej zapobiegać, niż leczyć) — powiada francuskie przysłowie. Pamiętajmy o niem przy pielęgnacji rąk. Prawie wszyscy żyjemy z ich pracy, trzeba im tę pracę umożliwić przez pielęgnowanie ich zdrowia, a przez pielęgnowanie ich urody, zachować przez całe życie ich piękny, młodzieńczy wygląd.

Dopomoże do tego kilkakrotny w ciągu tygodnia masaż rąk, przed którym lub po którym stosuje się zagranicą maseczki piękności na ręce. Wnikliwe ciepło tych maseczek wpływa bardzo dodatnio, nietylko na skórę rąk, czyniąc ją delikatną, białą i miękką, ale także na wewnętrzny stan mięśni rąk i naczyń krwionośnych, pobudzając je do intensywniejszej działalności.

Masaż rąk można wykonywać doskonale samemu, masując rękę lewą przy pomocy ręki prawej i naodwrót. W tym celu kładziemy je po kolei na stole, podkładając miękką poduszeczkę lub gruby ręcznik, złożony w kilkoro. Masujemy wierzch dłoni przy pomocy palców drugiej ręki, przesuwając je, nieco naciskając, od przegubu ku palcom, powtarzając to 20 razy. Następnie masujemy w tę samą stronę ruchem kołującym, a potem zmieniamy kierunek i przesuwamy puszkami palców od paznokci ku przegubowi drugiej ręki. Wskutek rozmasowania mięśni zmiękczają się wszelkie zbyteczne złogi, a przez nacisk masażu w stronę odpływu naczyń, ułatwiamy organizmowi wyprowadzenie najniebezpieczniejszych substancyj, niezawsze usuwalnych bez mechanicznej pomocy.

Nie obawiajmy się zaczerwienienia rąk przy tej sposobności, ani tem mniej nie wierzmy naiwnym osobom, które obawiają się trwałego zaczerwienienia rąk od masażu. Kto ma skłonność w tym kierunku, może odpowiedniem traktowaniem doprowadzić skórę do normy przez specjalne kąpiele rąk. Przyrządzić ją można w domu, dodając np. do ośmiu części wody dwie części wyciągu z rośliny Hamamelis (Orzech czarnoksięski). Inna recepta poleca 300 gr wody różanej, 100 gr gliceryny i 40 gr antypiryny. W kąpieli takiej trzyma się ręce przez 5—10 minut.

Dla trwałej konserwacji rąk koniecznem jest także oszczędzanie ich jak najstaranniejsze przy pracy ręcznej. Używajmy w tym celu znoszonych rękawiczek, aby brud czy piasek, czy ziemia, nie miały dostępu do skóry i nie zatykały jej porów, któremi oddycha, wydalając z organizmu produkty przemiany materji. Przy pracy natomiast, która wymaga trzymania rąk dłuższy czas w wodzie czy jakichkolwiek płynach, często gryzących, trzeba koniecznie wkładać rękawiczki gumowe.

Stary zwyczaj naszych prababek, podnoszenia rąk w górę dla odpływu krwi i idącego za tem ich chwilowego zbielenia, też powinien wrócić do łask pięknej pani, aby tym sposobem dawać wypoczynek mięśniom ramion. Również w pozycji leżącej dobrze jest odrzucić ręce w tył głowy poza siebie, aby przez parę minut wypoczęły w ciągu dnia.

Nie spostrzeżemy naturalnie z dnia na dzień jakichś olśniewających zmian przy stosowaniu zabiegów około pielęgnacji rąk, ale na dłuższą metę cierpliwość przy wykonywaniu masażu będzie napewno nagrodzona doskonałemi skutkami.

Elwira.



Masaż ręki, wykonywany przez drugą osobę.

Poniżej: Masaż wierzchu dłoni z pomocą palców drugiej ręki.



Poniżej: Wibrujący masaż wielkim palcem.

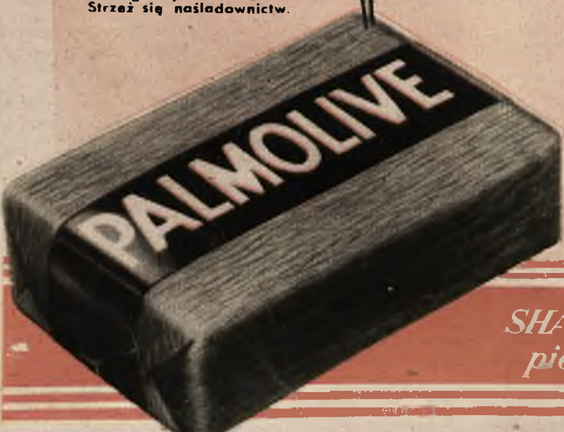


Zachwycone spojrzenia.... wszędzie!





Aby uzyskać cerę Palmolive, żądaj oryginalnego mydła Palmolive. Strzeż się naśladownictw.



Kobieta o pięknej cerze Palmolive

Na czym polega tajemnica tych dziewcząt, którym zazdrościsz i które podziwiasz. Dlaczego są one zawsze piękne i świeże, przyciągając oczy wszystkich. Czy zrezygnowałaś już z rywalizacji z niemi? O nie! Tajemnica prawdziwej piękności to sekret pięknej skóry. Każda kobieta może posiadać delikatną, rozkoszną cerę, o ile tego pragnie.

Nic nie może zastąpić olejku oliwkowego dla piękna cery. Od najdawniejszych czasów kobiety wiedzą o tym. A dziś miljony kobiet stosuje zabieg kosmetyczny olejkiem oliwkowym, używając mydła Palmolive.

Palmolive oczyszcza gruntownie pory, skóra przy tym pozostaje elastyczna i gładka. Czar Pani objawi się w naturalnym wdzięku.

Kikutygodniowa próba używania mydła Palmolive przekona Panią, tak samo, jak przekonała kobiety całego świata. Palmolive — jest ulubionym „mydłem piękności" we Francji, Ameryce i na całym świecie. Nie czekaj dłużej i spróbuj sama udelikatniającego i upiększającego działania mydła Palmolive.

SHAMPOO PALMOLIVE, wyrabiane na olejku oliwkowym, pielęgnuje włosy, jak MYDŁO PALMOLIVE cerę.

Uroda na metry!

Nie bez powodu nazwano Amerykę, a raczej Stany Zjednoczone krajem wszelakich ekstrawagancyj. Ustawiczna pogoń poczciwych Yankesów za wszystkiem, co największe lub najmniejsze, najbrzydsze lub najpiękniejsze — słowem to, do czego przyczepić można superlatyw in plus, albo in minus, powoduje, że etykieta „made in U. S. A." dawno stała się synonimem sensacji, może często mało wybrednej, ale zato działającej z reguły, jak bomba.

Nic więc dziwnego, że stara Europa, coraz rzadziej szczycąca się swą wielowiekową kulturą, wstydliwie chowająca „między wierszami" żądło surowej krytyki inowacyj i pomysłów, płynących przez ocean z U. S. A., poddaje się coraz bardziej haszyszowi amerykańskiej bujdy, posiadającej poza wszystkiem i tę właściwość, że jest zjawiskiem doskonale dostosowanem do upodobań dzisiejszych ludzi, nawet tych, żyjących w kulturalnych krajach Starego Kontynentu. Taki to już jest dzisiaj świat i jego mieszkańcy i nie ma widoków, by coś zmieniło się w nim na lepsze.

Ale Amerykanie nie we wszystkich swych ekstrawaganckich dążeniach zapoznają sens poszukiwań ludzkości za czemś oryginalnem, doskonałem. Urządzane np. przez nich, a tak kiepską sławą się cieszące konkursy piękności, miały i mają tę dobrą stronę, że o piękności kobiecej zaczęto więcej myśleć, że same kobiety ujęły ten problem w ramy zupełnie nowoczesnych dążeń, że na skutek tego nowego „wiatru" niedawne jeszcze poglądy uległy gruntownej rewizji i że w większości wypadków, wydając stempel piękności, znawcy wracają do wzorów klasycznych, jak się okazuje, nieśmiertelnych. Standaryzacja piękności kobiecej przez U. S. A. ułatwiła powstawanie tam całych armij dziewcząt, które raz jako „chorus-girls", to znowu jako „show-girls" służą rewji, kinematografji, domom mody i innym analogicznym imprezom, będąc ich tłem, ozdobą.



Trupa Bunny Waters (pierwsza w środkowym szeregu, wzrost 192 cm), złożona z amerykańskich modelek, odznaczających się urodą i ogromnym wzrostem.



Bunny Waters i jej dziewczęta w obrazie „Piękność za zasłoną", w londyńskim kabarecie „Deep Purple" (Ciemna purpura).



Na lewo: Trzy gracje z zespołu Bunny Waters w obrazie „War on Swing". Zdjęcia: M. Lorant — Londyn.

Ostatnio powstał w Nowym Jorku taki zespół dziewcząt, zorganizowany przez miss Bunny Waters, uchodzącą za najwyższą kobietę świata. Ta miss mierzy sobie ni mniej ni więcej, tylko 192 cm. Będąc sama modelką jednego z magazynów na Fifth Avenue, wpadła na pomysł stworzenia trupy modelek, odznaczających się przedewszystkiem wzrostem ponad 182 cm i wyjątkową urodą. Nielada było to zadanie, ale wkońcu się powiodło i miss Waters wyruszyła ze swemi Walkirjami na podbój świata. Występy rozpoczęły się na gruncie amerykańskim — początkowo w wielkich magazynach mody, gdzie piękna Bunny i jej podkomendne demonstrowały najnowsze kreacje mistrzów kobiecego stroju. Potem, gdy ograniczone na tej drodze możliwości okazały się niewystarczającem źródłem zarobków, olbrzymki przerzuciły się na lekką muzę, występując w kabaretach już nie jako „show-girls", ale jako „chorus-girls".

Ameryka, a ostatnio i Anglja, gdzie Bunny Waters i jej zespół występują w kabarecie „Ciemna purpura", przyjęły tę inowację w świecie girlsów z wielkim aplauzem. Olbrzymi wzrost tych dziewcząt przy zachowaniu klasycznych proporcyj kobiecego ciała, to walor, powodujący, że na tle dzisiejszej skarłowaciałej rasy ludzkiej, ta garstka amerykańskich olbrzymek wygląda na zespół istot nie z tego świata. Bunny Waters w wywiadach, udzielonych prasie angielskiej, zapowiedziała przygotowanie wielkiej rewji, w której jej dziewczęta wystąpią na tle dzieł klasycznych rzeźbiarzy, będąc w ten sposób żywem wcieleniem postaci greckiej mitologji.

Scott.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

RULADA GRZYBKOWA. 4 całe jaja ubija się spiralką aż do spienienia, następnie dodaje się szczyptę soli i pieprzu oraz 4 łyżki mąki i ubija dalej na gładką a płynną masę. Na podłużnej blaszce rozpala się masło, wylewa na nie przygotowane ciasto i wstawia do gorącego piecyka na 20—30 minut. Upieczone ciasto pokrywa się uduszonemi na gęsto grzybkami, zwija w rulon i kraje w skośne plastry. Ruladę podawać można jako przystawkę, lub też jako garnitur półmiska z pieczystem.

ZRAZIKI CIELĘCE A LA WINDSOR. Białą fasolkę szparagową dokładnie obciągniętą z włókien parzy się wrzącą wodą, następnie gotuje w słonej wodzie z kostką cukru. Ugotowaną osącza się na durszlaku, następnie kraje w drobną skośną kostkę. Łyżeczkę masła i tyleż mąki zasmaża się i zalewa szklaneczką białego wina, zagotowuje, dodaje 4 łyżki kremowej śmietanki, pół łyżeczki soli i tyleż cukru oraz odrobinę startej skórki cytrynowej. Do sosu tego wkłada się pokrajaną fasolkę i odstawia wstawione do naczynia z gorącą wodą. 30 dkg mięsa cielęcego przemiela się dwa razy z dodatkiem małej bułeczki rozmoczonej w mleku. Zmielone mięso uciera się przez 10 minut z dwoma jajami, łyżką masła, solą, łyżeczką soku cytrynowego i szczyptą białego pieprzu. Z utartej masy mięsnej formuje się małe podłużne zraziki które się osmaża na maśle, wkłada do sosu z fasolką, przykrywa, zagotowuje i dusi jeszcze przez 10 minut. Potrawę podaje się otoczoną ryżem lub cienkim makaronem włoskim.

PIECZEŃ CIELĘCA W MAJONEZIE. Kawał 1½ kilogramowy mięsa cielęcego z dyszka oczyszcza się z kości, które porąbane nalewa się słabym octem, dodaje różnych korzeni i jarzyn oraz soli i wygotowuje na bajc. Mięso formuje się zapomocą noża i pałki do ubijania w duży cienki płat, ten smaruje się masłem sardelowym, zwija w rulon, umocowuje nitką, zawija w serwetę i układa w dużym rądlu tak, aby leżał prosto. Wygotowany tymczasem bajc odcedza się z kości i reszty dodatków, wlewa na mięso ułożone w rądlu i gotuje przez godzinę na wolnym ogniu, odwracając mięso po jakimś czasie, aby się równomiernie gotowało. Po upływie godziny odstawia się rądel wraz z zawartością, aby zupełnie ostygło, co zwykle trwać musi kilka godzin. Wyjęte z serwety mięso pozbawia się nitki, kraje w plastry i zestawia w całość na półmisku. Majonez, którym się pieczeń pokrywa sporządza się z 4 żółtek na twardo ugotowanych, przetartych przez sito. Dodaje się 1 surowe żółtko i 1/4 litra oliwy dolewanej kroplami wśród ciągłego ucierania. Gęstą masę majonezową rozprowadza się sokiem cytrynowym oraz paru łyżkami bajcu z pod mięsa, dodaje drobno usiekaną sardelkę, łyżkę kaparów i odrobinę cukru, aby smak złagodzić. Majonez powinien mieć gęstość śmietany, dlatego w miarę potrzeby można się posłużyć rosołem, w którym się mięso gotowało. Półmisek ubiera się płatkami cytryny oraz piklami. (Przepis ten powtarzamy na życzenie czytelnika).

CZESKI PLACEK DROŻDŻOWY Z ŚLIWKAMI. 30 dkg mąki, szklankę letniego mleka, w którem rozrobiono 2 dkg drożdży oraz łyżkę cukru, 2 żółtka, łyżkę topionego masła, płaską łyżeczkę soli i skórkę otartą z cytryny lub troszkę gałki muszkatułowej. Wszystkie te dodatki miesza się razem i ubija łyżką na **zupełnie wolne** ciasto. (W miarę potrzeby można dolać letniego mleka). Ciasto rozciąga się na palec grubości na blaszce, posmarowanej masłem, poczem stawia się blaszkę nakrytą serwetką w cieple, aby wyrosła. W międzyczasie otwiera się śliwki węgierki, przekrawując je wzdłuż i wyjmuje pestki, które się rozbija i wyjmuje z nich ziarenka. Te tłucze się w moździerzu, miesza z kilku łyżkami cukru oraz pianą ubitą z pozostałych białek. Wyrośnięte ciasto okłada się rozpłaszczonemi śliwkami, polewa pianą z cukrem i wstawia do gorącego piecyka na 30—40 minut. Upieczone ciasto ostudza się na blaszce, poczem kraje w kwadraty i wyjmuje kawałkami.

KONSERWA Z GRZYBÓW. Grzyby tz. prawdziwki konserwowane przez sterylizowanie sposobem Wecka, przechowują się znakomicie i stanowią w zimie miłe widziana odmianę na naszym stole. Grzyby na ten cel wybierać należy świeże i twarde o ciemnych główkach. Grzybki pokrajane, dobrze opłukane i osiąkłe z wody, wkłada się do garnka bez dodatku wody, z łyżką masła i łyżeczką soli, poczem się je dusi przez godzinę na wolnym ogniu, uważając, aby się nie przypaliły. Po godzinie odstawia się naczynie przykryte do ostudzenia. Słoiki przeznaczone na te konserwe muszą być małe, porcjowe, gdyż otworzony raz słoik **musi być** zużyty, inaczej zawartość się zepsuje. Napełnione grzybami słoiki zalewa się łyżką topionego masła lub oliwy, zamyka i gotuje w aparacie przez godzinę, licząc od chwili zagotowania się wody w aparacie.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Są w każdym domu przedmioty zużyte, które się jednak nie wyrzuca w nadziei, że kiedyś się przydadzą. Leżą one latami i zawadzają w szafach. Tak bywa też ze słomkowymi kapeluszami. Można z nich zrobić praktyczne podstawki pod naczynia dla ochrony polituty stołu. Kapelusz należy spruć i stąd uzyskane pasma plecionej słomki pozwijać w różnych rozmiarów kółka, które potem odpowiednio pokolorowane zestawia się w różne wzory i otacza pasemkiem słomy dokoła.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 39 — **Wrzesień** — 30 dni



NIEDZIELA **18** Tomasza	Zupa neapolitańska. Rulada grzybkowa. Pieczeń sarnia z brusznicami. Suflet z jabłek. <u>Kolacja</u>: Cielęcina w majonezie.
PONIEDZ. **19** Januarego	Rosół "Julienne". Sztuka mięsa w sosie selerowym. Baranina z włoską kapustą i gruszkami. Placek z śliwkami. <u>Kolacja</u>: Grzybki w omletach.
WTOREK **20** Eustachego	Pomidorówka z ryżem na śmietanie. Budyń z szpinaku. Kaczka z duszoną dynią. Kompot mieszany. <u>Kolacja</u>: Rizotto na podróbkach.
ŚRODA **21** Mateusza S. dn.	Zupa śliwkowa z ziemniaczkami. Bakłażany faszerowane. Zraziki cielęce z szparagówką. Szarlotka z jabłek. <u>Kolacja</u>: Spaghetti z pomidorami.
CZWARTEK **22** Maurycego	Zupa jarzynowa purée. Kapusta faszerowana z grzybkami. Kotlety baranie z marchewką. Knedelki z śliwkami. <u>Kolacja</u>: Smażone nóżki cielęce.
PIĄTEK **23** Tekli p. S. dn.	Barszcz żytni z ziemniaczkami. Makaron z serem zapiekany. Smażona ryba z sałatką majonezową. Gotowane pączki. <u>Kolacja</u>: Jaja sadzone na szpinaku.
SOBOTA **24** Gerarda b. S. dn	Krupnik na podróbkach. Dynia smażona w cieście. Kotlety wieprzowe z kiszoną kapustą. Kompot mieszany. <u>Kolacja</u>: Parówki w sosie pomidorowym.



HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z Nru 37-go.

RĘKOPIS W BUTELCE.

„Znajdujemy się na bezludnej wyspie na Oceanie Indyjskim Statek nasz uległ rozbiciu trzeciego dnia po opuszczeniu Cejlonu".

ZAPROSZENIA.

Na raut przybyły 32 osoby.

GĘSI I OWCE.

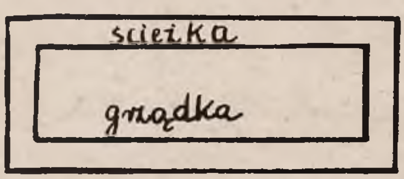
Gęsi było 15, owiec 7

Rozwiązanie zadania szachowego

1. b3—b4, jeśli G a3×b4.
2. Hg8—b3 mat.
1. ..... jeśli S e7×Hg8 lub e5×f4.
2. S a4—c5 mat.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

GRZĄDKA KWIATÓW.



Profesor Ułamek ma prostokątny ogród i swe dziwaczne zachcianki. Mianowicie z połowy powierzchni ogrodu chce zrobić grządkę z kwiatami, otoczoną ze wszystkich stron ścieżką o stałej szerokości. Czy Czytelnicy mogą wskazać ogólną metodę, któraby pozwoliła w ten sposób wykorzystać powierzchnię każdego prostokątnego ogrodu, niezależnie od jego wymiarów?

MIŁA PERSPEKTYWA.



Szofer do turystów: — A jeżeli państwo spojrzą na lewo, zobaczą państwo resztki autokaru, który w przeszłym tygodniu spadł w przepaść. („Ric et Rac")

SKUTKI KURACJI ODMŁADZAJĄCEJ.

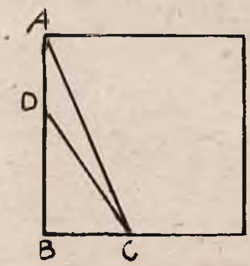


— Niech pani mi jednak przywróci dawny wygląd, bo absolutnie nie mogę przekonać mego męża, że jego żoną jestem... (Esquire).

DRÓB W OKNIE.

Gdy gospodyni zapytała o wagę wystawionego za wystawą drobiu, sklepikarz odpowiedział dosyć zagadkowo: „Indyk i kaczka razem ważą dwa razy więcej niż gęś. A waga gęsi i kury jest dwukrotnie większa od wagi kaczki. Gęś, kura i kaczka ważą razem dwa razy tyle co indyk. Kaczka waży $4^1/_4$ kg. Resztę może sobie paniusia sama obliczyć".

POLOWANIE NA ZAJĄCA.



Rysunek przedstawia kwadratowe pole. Odległość od A do B wynosi 60 metrów. Zając znajduje się w punkcie B i ucieka przed psem do swej nory A. Pies jest już w C, a odległość B C wynosi tylko 25 metrów. Na każde 12 metrów, które przebiega zając, pies biegnie 13 m. Czy pies złapie zająca, zanim ten zdąży dobiec do A?

TAJEMNICE HIGH LIFE'U

BŁĄD MŁODOŚCI

Humoreska Bogdana Brzezińskiego.

Hrabia Ryszard przechadzał się nerwowym krokiem. Klementyna spóźniała się. Spojrzał na złoty zegarek, wysadzany brylancikami w ten deseń, jak anarchista wysadza w powietrze prochownię.

Wreszcie na zakręcie alei ukazała się wiotka postać dziewczęcia.

— Klementyna! — wyszeptał Ryszard pobladłemi z miłości usty i zaczął biec, jakby go nagle natchnął spiritus Ovens.

Klementyna miała buzię dziwnie zasmuconą. W kącikach jej błękitnych jak niebo włoskie oczach lśniła zaschnięta niedawno łza.

— Co się stało, najdroższa? — rzucił z niepokojem hrabia Ryszard.

Klementyna zarzuciła mu dwoje ramion na szyję, gestem oddania pod słowem do jutra.

Ramiona baronówny oplotły się silnie dokoła szyi hrabiego. Ryszard cytował zawsze piękne porównanie znakomitej poetki Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej: ramiona, jak powoje. I dodawał niekiedy żartobliwie:

— Trafiła Kossak na ramię!

Ale dziś nie miał ochoty do żartów.

— Co się stało, kochanie? — powtórzył.

Dziewczyna zasłoniła oczy płatkami swych dłoni.

— Stało się coś strasznego... Coś potwornego!...

Hrabia miał najgorsze przeczucia.

— Czyżby... czyżby umarła pani baronowa?!

— Ach nie, moja matka żyje... Tak, ale tę okropną historję opowiedziała mi właśnie ona...

Załamała ręce.

— Ryszardzie, my nie możemy się pobrać! — zawołała z rozpaczą.

— Dlaczego? — jęknął hrabia z niewymowną i głuchą rozpaczą: kochał przecież ślepo Klementynę.

Klementyna zwiesiła głowę i zaczęła mówić nieswoim głosem:

— Moja matka... gdy dowiedziała się, że my się kochamy i chcemy połączyć się na wieki... wyznała mi, że jestem — córką twojego ojca... To był jej jedyny błąd młodości...

— Wystarczy ten jeden! — szepnął białemi zupełnie ustami hrabia.

Usiedli na niskiej ławeczce. Dziewczyna płakała cicho. Łzy jak groch sypały się z jej oczu i jak groch purée rozmazywały się po policzkach.

Hrabia Ryszard przyglądał się jej z pod oka.

Nie chciało mu się wierzyć, że Klementyna jest jego siostrą!

Wstał z ciężkiem westchnieniem.

— Żegnaj, Klementyno! Odchodzę... — i pocałował ją w rękę chłodno, tak, jak się całuje starą ciotkę, lub daleką kuzynkę.

Wrócił do domu posępny, jak noc.

Stara hrabina przyglądała mu się ze współczuciem.

— Ryszardzie, êtes-vous malade?

— Nie, matko — szepnął młodzieniec i zakrył twarz rękami.

Hrabina położyła dłoń na jego ramieniu, wstrząsanem nagłem łkaniem.

— A więc pierwsza sprzeczka narzeczeńska, mon fils?

— Non, mamusiu! — odparł Ryszard. — Coś encore plus gorszego!

Chwilę trwała cisza tak gruntowna, że słychać było „Muchę", którą czytał w sąsiednim pokoju ojciec Ryszarda.

Nagle — młody hrabia zerwał się z fotelu i zawołał łamiącym się, tragicznym głosem:

— Maman! Je suis três nieszczęśliwy! Matka Klementyny wyznała jej, że... Ach, nie wiem, czy mogę to wyznać — to jest okropne! Że — ojciec jest jej ojcem!...

— No, to wszystko w porządku — wtrąciła hrabina z uśmiechem.

— Ależ: m ó j ojciec jest j e j ojcem! Czy mama rozumie? Comprenez vous, maman?

— Je comprends, mon pauvre fils, owszem, je comprends! Ale to jeszcze nic strasznego...

— Nic strasznego?? — ryknął Ryszard. — Ha, ha czyż mama zwarjowała?! Êtes-vous myszygene, maman?!

— Mój synu — odparła spokojnie stara hrabina — twój ojciec jest ojcem Klementyny, tak? No, tak! Ale zato twój ojciec nie jest twoim ojcem, bo twoim ojcem jest ojciec Klementyny... Voilà!

— O mamo, jakże jestem szczęśliwy! — wykrzyknął Ryszard z uniesieniem (się z krzesła).

— To był mój jedyny błąd młodości, mon fils! — szepnęła hrabina, tuląc się do biusthaltera.

— To było bardzo ładnie z twojej strony! — zawołał Ryszard z zupełnem przekonaniem.



O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...

NA SCENIE

WARSZAWA. W Teatrze Letnim ujrzeliśmy w sprężystej reżyserji dyr. T. Trzcińskiego komedję Bus-Feketego **„Jan"**. Junosza Stępowski dał świetną kreację jako prezydent ministrów. Należy ona do najkapitalniejszych w bogatym repertuarze tego artysty. St. Wysocka odtworzyła wyśmienicie postać małżonki premjera, a Jadwiga Zaklicka zbierała rzęsiste oklaski za rolę zamężnej córki hrabiego. Janem był A. Żabczyński. Resztę zespołu stanowili pp.: Hnydziński, Masłowska, Jaworski.

KRAKÓW. Teatr im. Słowackiego wprowadził na scenę komedję węgierskiego autora, Bus-Feketego pt. **„Jan"** w reżyserji p. Józefa Karbowskiego i oprawie dekoracyjnej p. K. Gajewskiego.

W roli tytułowej zaprezentował się korzystnie publiczności krakowskiej świeżo zaangażowany do Teatru im. Słowackiego p. Zdzisław Mrożewski. Artysta ten zarysował bardzo trafnie postać lokaja wzorowego, który został nagle posłem do parlamentu z listy opozycyjnej. Partnerką jego była nieznana dotychczas w Krakowie p. Hanna Brochocka o nieprzeciętnej urodzie.

P. Kazimierz Fabisiak odtworzył z humorem postać prezydenta ministrów, a zarazem i chlebodawcy Jana. P. Antonina Klońska wzbudziła uznanie jako małżonka premjera. P. Roman Wroński był przedstawicielem „kombinatorstwa" w dziedzinie polityki i życia prywatnego. Inni wykonawcy pp.: H. Bielska, A. Fuzakowski, W. Kolwas dali żywe sylwetki.

ŁÓDŹ. Teatr Polski rozpoczął sezon komedją Włodzimierza Perzyńskiego pt. **„Aszantka"**. Rolę Władki zagrała p. Halina Dorée, p. Wichniarz postać Łońskiego, p. Nowosielski — Franka, a p. Dejunowicz — Kreckiego. Reżyserja p. K. Borowskiego, dekoracje p. Axera.

KATOWICE. Po „Wilkach w nocy" Teatr im. Wyspiańskiego wystawił **„Damy i huzary"** Fredry w reżyserji p. Konstantego Tatarkiewicza. Dobrym majorem był p. Tokarski, panią Dyndalską — p. Bronowska, kapelanem — p. Jastrzębski, Anielą — p. Rozwadowska. Z innych wykonawców należy wymienić pp.: Wandę Siemaszkową, Irenę Szabelakównę, Janusza Snaya, Ewę Jarecką, Irenę Kwiatkowską, M. Walterównę, St. Kostrzewskiego. Stylowe dekoracje — p. J. Jarnutowskiego.

TORUŃ. Teatr Ziemi Pomorskiej wystawił sztukę S. B. Shawa pt. **„Pigmaljon"** w reżyserji p. I. Ładosiówny, która interpretowała też główną rolę kobiecą (Elżbiety). Z innych wykonawców trzeba wymienić pp. H. Małkowską, Bracką, A. Piekarskiego i Cybulskiego.

NOWE KSIĄŻKI

Aleksander Junosza-Olszakowski „Mężczyzna XX wieku" Wyd. Gustowski i Wojciechowski, Poznań. Młode, ale bardzo ruchliwe wydawnictwo poznańskie wydało ostatnio zbiór nowel dobrze znanego Czytelnikom „Asa" autora, który również na Konkursie nowelistycznym naszego Magazynu otrzymał II nagrodę. Choć dziś forma literacka noweli daleka jest od popularności, jaką posiadała przed wojną, to jednak i dzisiaj nowele w „sosie" egzotycznym i nieco sensacyjnym znajdują swoich sympatyków. Utwory p. Olszakowskiego mają po większej części za tło dalekie kraje, głównie wzięte z życia marynarzy, podróżników, mieszkańców kolonij angielskich itd. W niejednej z nich odnajdziemy głębszą myśl, w wielu dramatyczne nieraz i emocjonujące przeżycia bohaterów. Są to oczywiście nowele, odbiegające zupełnie od „klasycznego" pierwowzoru Maupassanta i posiadają współczesny charakter, tkwiący swemi korzeniami bądź to w reportażach, bądź też w licznych książkach podróżniczych i awanturniczych à la Jack London. Tom nowel Olszakowskiego spotka się bezwątpienia z zainteresowaniem publiczności.

Elżbieta Szemplińska-Sobolewska: „Potrójny ślad". (Rój). Powieść ta otwiera cykl autorki „18 spotkań" (nowele). W „Potrójnym śladzie" ukazuje Szemplińska - Sobolewska postać Darji na trzech niejako płaszczyznach: widzimy ją w zetknięciu z Urbanem i Matyldą, oraz w świetle jej pamiętnika.

Ta technika wymaga czujności czytelnika, aby należycie powiązać wątki akcji. Autorka posługuje się stylem nerwowym i dość skąpym w słowa. Rzecz jest naogół nierówna. Niektóre rozdziały najwidoczniej potraktowane są ze specjalnem zamiłowaniem, w innych autorka prześlizguje się po powierzchni zdarzeń.

Bohaterka „Potrójnego śladu", Darja, to typ kobiety, wnoszącej niepokój i katastrofy — wszędzie, gdzie tylko się pojawi. Ma ona szczególną siłę atrakcyjną, choć nieodznacza się jakiemiś głębszemi zaletami umysłu czy serca.

Darja to natura, niesyta wrażeń. Najpoważniejsze sprawy potrafi obrócić w żart, najżywsze uczucie zlekceważyć. W „Potrójnym śladzie" na pierwszy plan wysuwa się historja „trójkąta": Urbana, Matyldy i Darji. **J. J.**

Nowa książka Czachowskiego. Kazimierza Czachowskiego uważają powszechnie za kontynuatora Feldmanowskiej tradycji. Nic więc dziwnego, że jego książki cieszą się zarówno wielkiem zainteresowaniem u publiczności, jak doskonałem przyjęciem przez świat krytyków. Ostatnia książka Czachowskiego p. t. „Najnowsza literatura polska" jeszcze w wyższym stopniu uwydatnia wszystkie cechy tego talentu: sprawiedliwy sąd, doskonałe ujęcie właściwości danego autora, jasny i potoczysty, a przytem wykwintny wykład. Czachowski daje nam przegląd najwybitniejszych, ale też i wielu mniej wybitnych dzieł literackich, które ukazały się w ostatnich kilku latach. Trudnoby się zorjentować w tym gąszczu bez jego vademecum!

Oryginalną inowacją są reprodukcje autografów polskich autorów. **L. T.**

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 18 września.

12.03 Poranek symfoniczny.
14.45 Transmisja z dożynek i przekazanie sprzętu wojskowego pułkowi Ziemi Tarnowskiej.
15.50 Transmisja z Kamienicy meczu piłkarskiego „Polska — Niemcy".
17.30 Tygodnik dźwiękowy.
18.00 Podwieczorek przy mikrofonie. Transmisja z Siedlec.
20.05 Dyrygujc Piero Coppole.

Poniedziałek, 19 września.

11.20 Duety operowe w wykonaniu artystów teatru La Scala.
16.00 Koncert rozrywkowy.
18.10 Recital fortepianowy Jana Ekiera.
18.50 Audycja konkursowa Polskiego Radja.
22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela.

Wtorek, 20 września.

11.15 Symfoniczna twórczość Bizeta.
16.00 Muzyka operowa.
16.45 „Od Tatr do stratosfery" — Jodko Narkiewicz.
18.10 Recital fortepianowy Olgi Martusiewicz.
19.00 Utwory skrzypcowe w wykonaniu Antoniego Szafranka.
21.10 „W stulecie saksofonu" — reportaż muzyczny.
22.00 Pieśni Jana Brahmsa i Józefa Marxa.

Środa, 21 września.

18.00 Recital skrzypcowy Zdzisława Roesnera.
19.00 Recital śpiewaczy Michała Zebeydy-Sumickiego.
21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Margerity Trombini-Kazuro.
22.00 Koncert kameralny w wykonaniu Kwartetu P. R.

Czwartek, 22 września.

18.10 Recital skrzypcowy Marji Szrajberówny.
18.30 „Znakomitość z Zachodu" skecz.
19.00 Piosenki i tańce białych i czarnych w U. S. A. na dwa fortepiany w wykonaniu Aleksandra Brachockiego i Karola Trombika.
21.02 „Arlezianka" — opera w aktach F. Cilea (transmisja ze studja w Turynie), dyr. Umberto Berretoni.

Piątek, 23 września.

18.10 S. Taniejew: Trio D-dur — op. 22.
19.00 Pieśni i arje w wyk. Ludmiły Szretterówny.
19.30 „Wesoła Warszawka", koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert symfoniczny Orkiestry P. R.

Sobota, 24 września.

11.25 Współcześni pianiści.
15.15 Teatr Wyobraźni dla dzieci: Twoi koledzy z całej Polski".
16.45 Groteskowe obyczaje — feljeton.
18.10 Dawna muzyka — koncert.
19.00 Pięć pieśni Joachima Raffa do słów Emanuela Geibla w wykonaniu Tatiany Noleir-Mazurkiewiczowej.
19.30 Koncert rozrywkowy w wyk. Kapeli Ludowej F. Dzierżanowskiego, oraz Chór P. R.
22.00 Godzina niespodzianek.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.